



KWIECIEŃ

1989

miesięcznik polityczny
Organizacji - Liberalnych Demokratów

Nr 88

WARSZAWA

ceną 200 zł

WYBORY, WYBORY

RACHUNEK STRAT I ZYSKÓW

KOMENTARZ NAJBARDZIEJ ZAJADŁEGO CZŁONKA REDAKCJI

UMIARKOWANIE W UMIARKOWANIU

PROBIEŻ INTENCJI

SKANDAL WOKÓŁ SANKCJI /"THE AMERICAN SPECTATOR"/

ROZMOWY "NIEPODLEGŁOŚCI":

II. Z ALEKSEM TOMSKIM

VACLAV HAVEL JAKO MYSLICIEL KONSERWATYWNY /"THE SALISBURY REVIEW"/

KOMUNIKATY:



wydaje GP „N”

Większość środowisk niepodległościowych jest zdania, że w zapowiedzianych wyborach do sejmu i senatu nie należy brać udziału. Argumenty uzasadniające tę tezę nie są zbyt oryginalne. Mówi się o niewiarygodności komunistycznego reżimu, o nie wchodzeniu w grę z szulerem, itd. itp. Argumenty te są z moralnego punktu widzenia bardzo słuszne, mają jednak to do siebie, że nie bardzo poddają się analizie politycznej. Sądzę, że główny tok myślenia jest następujący: komunistów nie lubimy i dlatego nie pójdziemy do wyborów, przez co okazemy się lepsi /szlachetniejsi/ od tych, którzy do wyborów pójdą. Pzetaelna analiza polityczna polegałaby natomiast na zestawieniu korzyści i strat, wynikających z przyjętej strategii działania. Po stronie "winien" w tym rachunku znalazłoby się uwiarygodnienie reżimu. Moim zdaniem nie jest to koszt istotny, gdyż w społeczeństwie wiarygodność rządu zależy przede wszystkim od jego sukcesów lub porażek w polityce ekonomiczno-społecznej, ta zaś ma niewiele wspólnego z najbliższymi wyborami. Jeżeli, jakimś cudem, komunistom udałoby się w istotny sposób podnieść poziom życia, ich popularność wzrosłaby ogromnie i to niezależnie od tego, czy Kuroń z Wałęsą całowałiby się z Kiszczakiem, czy nie. Jednym słowem, argument o uwiarygodnieniu wydaje mi się dęty, pochodzący raczej ze sfery emocji, niż polityki.

Zasadniejszy wydaje się argument, że udział w wyborach większości społeczeństwa oraz przynajmniej części opozycji - i to tej najbardziej w świecie nagłościanej - legitymizuje komunistyczne władze peerelu na arenie międzynarodowej, przynajmniej na jakiś czas zdejmując z wokandy sprawę polską. Szkody będą więc ewidentne. Będą jednak ograniczone. Proces likwidacji sprawy polskiej wspólnym wysiłkiem Zachodu i opozycji "solidarnościowej" rozpoczął się bowiem nie w roku 1989 posiedzeniami przy "okrągłym stole", ale parę lat wcześniej. Wybory tylko go trochę przyspieszą.

Jakie natomiast społeczeństwo może odnieść korzyści z udziału w wyborach?

Główną korzyścią, jaka może zostać osiągnięta /co nie znaczy, że osiągnięta będzie/ jest otwarcie pola dla walki politycznej. Dotychczasowa działalność opozycyjnych ugrupowań sprowadzała się do wydawania oświadczeń, produkowania bibuły, rzadziej, organizowania protestów społecznych /strajków, demonstracji/. Działalność taka pozwalała istnieć grupom niewielkim, czasami śmiesznie małym i dzięki odpowiedniemu wzmocnieniu /rozgłoszenie polsko-języczne/ pozwać na liczące się ugrupowania polityczne. Pozwalało to także uzyskiwać wsparcie pieniężne z Zachodu, które dla niektórych grup stało się celem samym w sobie. Społeczeństwo zwykle niewiele wiedziało o istnieniu tych grup, nie znało ich programów, często w ogóle o nich nie słyszało. Tego typu działalność nie wpływała pozytywnie ani na wewnętrzny rozwój grup, ani na wypracowywanie programów /choć teoretyczne programy, autorstwa mniej lub bardziej dojrzałych autorów, oczywiście ukazywały się/, ani zwłaszcza nie przyciągały klienteli społecznej. Jednym słowem, była to działalność "przed-polityczna". Miała ona swoją wewnętrzną dynamikę, o której w naszym piśmie wielokrotnie pisaliśmy. Jedną z jej cech były wewnętrzne podziały, do których dochodziło o wiele częściej, niż do fuzji różnych grup. No bo i po co łączyć się w jedno większe ugrupowanie, jeżeli nic do tego, nie zmusza. Przecież przyjemniej /a czasami i bogaciej/ jest w grupie małej, ale zaprzyjaźnionej, gdzie o wiele łatwiej liderować pięciu członkom i dziesięciu sympatykom, niż starać się o poparcie tysięcy.

Działalność "przed-polityczna" doprowadziła do wykształtowania się grupy kilkudziesięciu "znanych polityków". Termin ten oznacza, iż nazwiska tych osób pojawiały się dość często, zwłaszcza na falach RWE. W ten sposób RWE stała się głównym kreatorem osobowości "politycznych" w PRL. O rozgłosie "polityka" decyduje nie jego praca organizacyjna, nie umiejtność budowy stronnictwa, formułowania programu, nie adekwatność programu do rzeczywistości, lecz łączność z polsko-języcznymi rozgłoszami na Zachodzie, oraz stosunki z kilkoma tytułami prasy podziemnej, uznanymi za "szlachetne".

Być może, okres "przed-polityki" był niezbędnym etapem rozwoju środowisk politycznych. Nie zamierzam kwestionować wartości niektórych "przed-polityków", którzy płacili niejednokrotnie za swoją działalność więzieniem. Jednakże nikt rozsądny nie może uznać stanu "przed-polityki" za satysfakcjonujący. Przede wszystkim, w okresie tym wykreowano na osobistości polityczne wielu nieudaczników, których zasługa polegała głównie na tym, że w odpowiednim momencie oddali czerwoną legitymację lub po prostu zostali z PZPR wyrzuceni. Opozycyjny establishment na ogół nie pamiętał im wielu lat obecności w partii, zaangażowania po stronie reżimu, zwykle do Gierka włącznie, różnych obrzydliwości wypisywanych w partyjnych gazetach i wygłosowywanych w partyjnym sejmie. 13 Grudnia stał się w tym przypadku cenzurą decydującą. Wystarczyło, że ktoś po tym dniu opuścił "POLITYKĘ" czy "ŻYCIE WARSZAWY", by gest ten nie tylko stanowił ekspiację za lata pracy na froncie komunistycznej propagandy, lecz także kreował na wiarygodnego polityka. Masa tego typu ludzi dołączyła do małej grupki "przed-polityków" przedsiębiorczych oraz działaczy solidarnościowych, by wspólnie utworzyć zjawisko zwane opozycją. Ponieważ dzięki czerwonym nie istnieją żadne sposoby weryfikacji działaczy opozycyjnych /propaganda komunistyczna jest tak niewiarygodna, że nie tylko wiadomość, iż jakiś opozycjonista ukradł książkę, czy podpisał dokumenty, ale nawet informacja, że zamordował własną żonę, nie zrobiłaby na nikim większego wrażenia/, więc opozycjonista może być dowolnie psychologicznie manipulowany. W ten sposób opozycjonista

poza wykładaniem oświadczeń i podpisywaniem listów otwartych, by utrzymać się w czołowiec. Charakterystyczny jest tu przykład działaczy Towarzystwa Gospodarczego, które swoją świetność przeżywało w okresie, gdy komuniści nie pozwalali na jego działanie. Komfort się skończył i "zaczęły się schody", gdy rejestrację uzyskano i gdy trzeba było wykazać się aktywnością.

"Przed-politykę" uprawiano na kilka sposobów. Małe grupki niepodległościowych konspiratorów spotykały się w gronie kilku osób i podpisywały komunikaty o tym spotkaniu. Politycy o nazwiskach znanych /głównie dzięki NME lub dzięki starym zasługom podziemnym lub pisarstwu w komunistycznych pismach/ dawali wywiady i podpisywali listy. Politycy kanapowi o rodowodzie sejmowym spotykali się na cotygodniowych zebraniach i rozmawiali o tym, jakie plotki usłyszeli od zaprzyjaźnionego członka KC. Cała ta "polityka" nie miała nic wspólnego ze znaczeniem tego słowa w krajach demokratycznych. Powodowała, że w szeregi działaczy opozycyjnych dostawali się nie tylko agenci bezpieki /to jeszcze pół biedy/, lecz przede wszystkim grońada nieudaczników i delikatnie mówiąc, dziwaków. Ludzie ci, w normalnym systemie demokratycznym, nie mieliby żadnej szansy na publiczne zaistnienie. Szansę taką stwarzali im komuniści i zastosowana przez nich blokada życia politycznego w peerelu.

Dzięki wyborom istnieje szansa na zmianę tej sytuacji. Piszę szansa, gdyż pewności rzecz jasna, nie ma. Szansa ta polega, krótko mówiąc, na zmianie reguł politycznej gry. Oczywiście osobistości wykreowane w okresie "przed-polityki" będą miały i tak przewagę na starcie, gdyż ich nazwiska są już znane. Przewaga ta nie może jednak być wystarczającą lokomotywą, która dowiezie danego osobnika do sukcesu. Każdy musi starać się o poparcie szarego obywatela, który bardzo rzadko miał w ręku bibułę, którego nie przekonują heroiczne gesty oddawania czerwonej legitymacji, a chciałby od polityka usłyszeć receptę na lepsze życie. Zresztą receptę zawsze można wystawić, lecz za jakiś czas ów szary człowiek rozliczy wystawcę recepty. Ot i cała polityczna gra.

Kanapowa polityka jest szalenie przyjemna. Koktajle w ambasadach, wywiady - sama śmietanka, zwłaszcza w czasach, gdy nie grozi aresztowanie. To wygodny życie rozleniwia. Prawdziwa polityka zmusza do pracy. I to nie tej pracy romantycznej, robionej zrywami /ileż to wysiłku wydatkowaliśmy na produkcję bibuły, jej transport, załatwianie papieru itd./, lecz siemiężnej codziennej harówki. Polityk, jeżeli chce zapewnić sobie wyborczy sukces musi przede wszystkim spotkać się ze swoimi potencjalnymi klientami, którzy nie zawsze wyglądają i mówią tak, jak to sobie wyobrażają intelektualiści, odbyć dziesiątki nudnych konferencji, tysiące razy wyjaśniać ludziom rzeczy na pozór oczywiste. To nie jest wcale przyjemna praca, nie daje satysfakcji i towarzyskich zaszczytów! Ale to jest właśnie prawdziwa i jakże potrzebna praca polityka. Ona czeka nas wszystkich w najbliższych miesiącach.

Wybory stwarzają też szansę przyspieszenia ewolucji sytuacji politycznej. Od momentu zwrotu w polityce komunistów we wrześniu 1986 roku są oni zmuszeni do coraz większej liberalizacji. Nie wierzę w teorię spiskową, czeru wielokrotnie dawałem wyraz w publikacjach. Nie wierzę zatem, by liberalizacja była misterną manipulacją. Nie sądzę także, by czerwoni /także ich ścisły sztab/ zdawali sobie sprawę, gdzie leży kres ewolucji. Metodą prób i błędów starają się ustabilizować sytuację, zyskać w społeczeństwie sojuszników, poprawić efektywność swych rządów. Gdy we wrześniu 1986 roku powiedzieli "A", wypuszczając z więzień politycznych i godząc się na "dekryminalizację" działań opozycyjnych, chcąc nie chcąc, uznali opozycję. Uporczywe odnawianie dalszych pojedynczych gestów przez następne dwa lata świadczy o tym, że komuniści nie zdawali sobie sprawy we wrześniu 1986 roku z doniosłości swego kroku. Również większość opozycji nie przewidziała kierunku i szybkości przemian. Bez zwrotu z września 1986 roku strajki roku 1988 nie byłyby możliwe lub zostałyby szybko stłumione, nie wywierając większego wpływu.

Zwrot, związany z polityką "okrągłego stołu" jest jeszcze donioślejszy niż ten sprzed dwóch i pół lat. Półdemokratyczne wybory są kontynuacją tej polityki. Można oczywiście wybrzydzać, że to tylko "pół", lecz warto przypomnieć, że gdy na jesieni 1981 roku o podobną ordynację upominał się Jan Pulewski - stanowiło to wówczas dowód nieodpowiedzialności solidarnościowej ekstremy. Po raz pierwszy w historii peerelu można będzie oszacować rzeczywiste wpływy komunistów i opozycji. Dotychczas obie strony bazowały na szacunkach lub ankietach, nienożliwych do społecznej weryfikacji. Jeżeli w czerwcowych wyborach opozycja odniesie sukces /będzie nim znaczna większość w senacie i prawie cała 35-procentowa pula w sejmie/, komuniści nie będą mogli na dłuższą metę utrzymać monopolu władzy. Nawet jeżeli jeszcze następne wybory nie będą w pełni demokratyczne, ewolucja w kierunku pełnej demokracji będzie zapoczątkowana. Wybory oznaczać będą, że system komunistyczny w Polsce zjeżdża po równi pochyłej. Może się on zatrzymać dopiero na poziomie pełnej demokracji. Oczywiście jest możliwe także rozwiązanie inne - kolejny stan wojenny i powrót do punktu wyjścia. Tyle, że mimo wszystko do kolejnej rundy będziemy startować ze znacznie wyższego poziomu. "Solidarność" w stanie wojennym można było nazywać organizacją przestępczą, można było podejmować próby kompromitacji jej działaczy, rozbijając jej podziemne struktury. A mimo to elity, zrodzone w ciągu 16 miesięcy legalnego istnienia "S" przetrwały. Znacznie silniejsza będzie pozycja opozycyjnych posłów, nawet jeżeli zostanie

wprowadzony stan wyjątkowy, a posłowie utracą immunitet. Jeżeli nawet komuniści liczą na to, że wybory będą tylko manipulacją, mającą na celu chwilowe uspokojenie społeczeństwa, to dzięki nim Polska wejdzie w okres eksperymentu, w którym wszystko będzie możliwe.

Zdaję sobie z tego sprawę, że wybory nie będą przecież demokratyczne, w dużej mierze będą manipulowane i wcale nie przestaną obowiązywać reguły "przed-polityki", kawiarniano-kanapowej szeptarki. To, co budzi mój niepokój, to nie tyle manipulacja czerwonych /to jasne, że nie oddadzą oni po wyborach władzy/, lecz próby ordynarnej manipulacji, dokonywanej przez różnych prominentnych "przed-polityków".

Przed kilkoma miesiącami utworzony został tak zwany Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ "S". Komitet ten w swoim założeniu ma reprezentować społeczeństwo. Jest to więc rozszerzenie formuły "Solidarności". Komitet posługuje się autorytetem "S", ale działa nie jako związek zawodowy, lecz ruch obywatelski. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pewne wątpliwości, związane z genezą i składem Komitetu. Otóż, jest on ciałem całkowicie samowolnym. Nie był przez nikogo wybrany, jego przedstawiciele nie reprezentują środowisk, gdyż nie zostali przez nie wysunięci do Komitetu. Wszyscy jego członkowie, w większości szacowni intelektualiści i "przed-politycy", zostali mianowani formalnie przez Lecha Wałęsę, faktycznie przez kilku jego najbliższych doradców. Przy okazji wyeliminowano działaczy, którzy Wałęsie czy Czerenkowi się nie podobali, a co gorsze, nurty polityczne, które kierownikom Komitetu nie odpowiadają. Z grubsza rzecz biorąc, doproszono lewicę /w tym pokreślone grono byłych członków PZPR/, zaś wyproszone prawicę, zarówno niepodległościową jak i umiarkowaną. Komitet ma doskonałe dojścia do "niezależnych" środków przekazu, także zagranicznych, został zatem ogłoszony reprezentacją, bardzo wiarygodną, społeczeństwa. Co ciekawe, ten samowolny Komitet został uznany przez komunistów za rzeczywistą reprezentację opozycji. Sprawa jest o tyle ciekawa, że jak dotąd, komuniści zwykle niechętnie wchodzili w układy z opozycyjną lewicą, obawiając się jej socjalizmu bardziej, niż poglądów prawicy. Być może, obecne porozumienie lewicy rządzącej z lewicą opozycyjną wynika z próby "socjaldemokratyzacji" PZPR, podjętej przez pewnych jej działaczy. Być może zresztą, wytłumaczenie aliansu jest prostsze. Komunistom potrzebne jest porozumienie z opozycją i to opozycją, jak najbardziej wiarygodną dla Zachodu. Skoro Komitet powstał i został uznany za wiarygodny, to komuniści nie widzieli powodu, by jego wiarygodność podważać, mimo że łatwo mogli to uczynić. W odpowiednim momencie niereprezentatywność Komitetu i tak stanie się dla niego ogromnym obciążeniem. W odpowiedniej chwili można będzie mu to wypomnieć. Na razie toczy się gra pozorów. Dochodzi do porozumienia między rządem a środowiskami reprezentowanymi w Komitecie i porozumienie to nazywane jest porozumieniem narodowym. W oparciu o ten schemat przeprowadzone mają być wybory do sejmu i senatu.

Skład sejmu i senatu oraz uprawnienia obu tych ciał gwarantują komunistom zachowanie władzy. Jednocześnie jednak opozycja wejdzie do tych ciał i to nie tylko jako ozdoba, lecz może odgrywać pewną rolę /choć nie decydującą/ w wytyczaniu polityki. Może na przykład, o ile opanuje senat, blokować niektóre ustawy, lub przynajmniej opóźniając je, zmuszać rząd do kompromisu. Najważniejsze jednak jest to, że proces wyborczy może radykalnie przyspieszyć strukturalizację ugrupowań opozycyjnych. Przecież opozycja nie jest jednolita. Niezbędne jest wykrystalizowanie się ruchu socjal-demokratycznego, chadeckiego, liberalnego. Zaletki tych ruchów istnieją i wyrażają ambicję przekształcenia się w partię. Przyspieszenia temu procesowi mogłaby nadać wolna kampania wyborcza. Działacze manipulujący Komitetem Obywatelskim nie zamierzają jednak oddać monopolu na opozycyjność. Kampania wyborcza odbywa się w ogromnym pośpiechu. W ciągu kilkunastu dni różne grupki opozycyjne musiały wysunąć swoich kandydatów, a następnie zdobyć dla nich podpisy 3 tysięcy wyborców, by kandydatury zostały uznane. Pośpiech ten, jak również wysoka ilość wymaganych podpisów /przed wojną w różnych wyborach wymagano od 50 do 200 podpisów/ działa na korzyść nie tyle władz, ile opozycji, skupionej w Komitecie. Dlatego w rozmowach "okrągłego stołu" zgodzono się na ten wymóg bardzo szybko.

Kilka tygodni temu, na zebraniu klubów politycznych, Jacek Szymanowski, występujący tym razem jako przedstawiciel Komitetu Obywatelskiego, przedstawił zdumionym działaczom propozycję nie do odrzucenia. Otóż, jedynymi wiarygodnymi kandydatami opozycyjnymi mają być ci, którzy zostaną "namaszczeni" przez Lecha Wałęsę /to znaczy mianowani przez kilku jego doradców/. Kto zechce wystawić swoich kontrkandydatów przeciwko nim, narazi się na zarzut rozbijania jedności. Środowiska ponięte na liście Wałęsy powinny zatem pokornie uznać, iż tym razem nie są jeszcze gotne dostąpić zaszczytu, a wtedy w nagrodę ich kandydaci zostaną wysunięci do ... nad narodowych w najbliższych wyborach. Dodać przy tym trzeba, że opozycja komitetowa dysponować będzie środkami przekazu, udostępnionymi im przez komunistów - codzienną gazetą i programem w telewizji. Według kalkulacji działaczy Komitetu powyższa kalkulacja pozwala im utrzymać monopol opozycyjny i z łatwością wyprorować swoich kandydatów. Rzecz jasna, ceną za tę manipulację jest zawężenie pola działań politycznych. Skoro nie ma rzeczywistej konkurencji, kandydaci nie muszą przejmować się zarządzo wyborcami. Znowu ważny jest nie szary człowiek,

gdzieś na polskiej prowincji, lecz dostęp do środków przekazu i stosunki z kilkoma prominentnymi działaczami. Przy okazji załatwiono stare porachunki z niepokornymi.

Demokratyczne wybory wymagają istnienia aparatu prowadzącego wyborczą kampanię. Jedyny aparat w skali ogólnopolskiej stanowi Komitet Obywatelski. Można by powiedzieć - i oóż w tym złego, czy uzignego? Skoro inni nie potrafili stworzyć swojego aparatu, to ich wina. Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. W rzeczywistości Komitet Obywatelski aspiruje do reprezentacji, jeżeli nie całego społeczeństwa, to przynajmniej całej opozycji. Sam w sobie nie jest przecież partią polityczną. Poza tym dysponuje funduszami i wsparciem materialnym udzielanym dla całej opozycji, a nie dla jej lewicowej części. Komitet stanął w końcu kwietnia przed koniecznością wysunięcia kandydatów na posłów i senatorów. Gdyby stwierdził, że reprezentuje określoną część opozycji lub NSZZ "Solidarność", sprawa byłaby prosta. "Solidarność" /już przecież zalegalizowana/ powinna się spotkać na nadzwyczajnym zjeździe i wysunąć swych kandydatów lub też uznać, że jako związek zawodowy nie bierze udziału w wyborach. Ewentualnie, przedstawiciele nurtu socjal-demokratycznego powinni spotkać się z eurokomunistami oraz innymi lewicowcami i wspólnie wysunąć lewicowych kandydatów. Kryterium nominacji byłoby jasne. Skoro jednak Komitet Obywatelski uznał się przedstawicielem wszystkich, to wobec nieistnienia jasnych kryteriów nominacji, sprawa wywołała szereg konfliktów. Przede wszystkim powstał konflikt między działaczami prowincjonalnymi i centralnymi. Kandydaci byli wysuwani na zebraniach wojewódzkich, a tam preferowano zwykle działaczy lokalnych /zwłaszcza w środowisku "Solidarności" RI/. Centrala patrzyła na to z lekkim przerażeniem, jako że w kolejce do sejnu i senatu czekało kilkudziesięciu działaczy, mieszkających w Warszawie. Nominacje wojewódzkie były więc weryfikowane na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego w Warszawie, a terenowi działacze /często zresztą mało znani i nie specjalnie aktywni/ otrzymali lekcję "demokracji". Drugi konflikt polegał na wycięciu mniej zaprzyjaźnionych z decydentami Komitetu, a wstawieniu na ich miejsce bardziej odpowiednich /to jest zaprzyjaźnionych/. Odbywało się to w atmosferze skandalu i przepychanek. Wycięto na przykład Zabłockiego, który wcześniej otrzymał w Suwałkach nominację miejscowego komitetu, a na jego miejsce wstawiono Genenka. Zabłockiemu zarzucono, że nie był wystarczająco opozycyjny. Zarzutu tego nie postawiono natomiast kilku byłym posłom z lat gierkowskich, np. Osmańczykowi /który w 1975 roku dziękował PZPi-owi za zapis w konstytucji o przyjaźni z ZSRR/, czy Holoubkowi. Profesorowi Zawiślakowi /znanemu z ostrej krytyki indeksacji płac/ postawiono zarzut, że w stanie wojennym nie wystąpił z PZPi-u /rzeczywiście nie wystąpił, bo nigdy nie należał/, natomiast nikt nie śmiał zapytać się profesora Stelmachowskiego o okoliczności udekorowania go orderem za zasługi dla MSW, ponieważ ten ostatni należy do bardziej zaprzyjaźnionych.

Trzeci wreszcie konflikt powstał w łonie samego Komitetu Obywatelskiego i "Solidarności" i wynikał z tego, że niektórzy prominenci tych organizacji rozumiejąc, iż wybory mogą zakończyć się wielką kompromitacją /nie tyle na skutek arytmetycznej przegranej, lecz rozbitcia Związku/, wycofali się z nich.

Niestety, wygląda więc na to, że najbliższe wybory, z powodu manipulacji, jakie mają i będą jeszcze mieć miejsce, okażą się nienajlepszą szkołą demokracji.

Janusz NOWICKI

RACHUNEK STRAT I ZYSKÓW

Przypominam sobie z wczesnych lat siedemdziesiątych następujący dowcip: "Co to jest? Ma parę rogów, cztery nogi, a w środku Gierek?" Prawidłowa odpowiedź brzmiała: "Telewizja". Dziś, to znaczy na początku kwietnia 1989 roku funkcje Gierka w telewizji spełnia stół. Okragły oczywiście. I to nie tylko w telewizorze, także w radiu peerelowskim i wolnym, w prasie oficjalnej i podziemnej, w domu, w pracy i w kościele. Tak zewsząd osaczony, myślę sobie, że czasem nadmiar informacji może okazać się groźniejszy niż jej brak. Nie pozostawia bowiem czasu na refleksje. Jeśli jeszcze "cały ten zgiełk" odbiera się w kategoriach sportowych - znowu nasi dołożyli czerwonym - to stawka, o którą idzie gra przestaje jakby się liczyć.

Tymczasem nic bardziej fałszywego. Gra jest przecież poważna i nie idzie w niej wcale o pietruszkę. Zwłaszcza, że tzw. "strona solidarnościowo-opozycyjna" cenę za tę grę, w imieniu społeczeństwa, już uiszcza - i to bez informowania go o niej i bez pytania o zdanie. Ceną tą była przede wszystkim zgoda na niekonfrontacyjne wybory, co poeciaga za sobą PONOWNĄ /to znaczy drugą po wyborach z roku 1957/ LEGITYMIZACJĘ KOLONIZJI W POLSCE. "Od tego momentu - napisaliśmy w DODATKU do numeru 87 - kwestia polska przestanie antyszambrować po przedpokojach zachodnich związkowców i przedsiódkach zachodnich polityków. My zaś pierwsi, o wstydzie, w Obozie, będziemy mieli jako wynik naszych dziesięcioletnich

starań, nasz własny, przez nas zaprobowany komunizm".

Politycy spod znaku Lecha Wałęsy twierdzą, że przy "okrągłym stole" dokonali transakcji korzystnej w ostatecznym rachunku dla Polski. Uroczomili bowiem proces, który drogą ewolucyjną, doprowadzić ma w przyszłości do likwidacji systemu totalitarnego, czyli do unarodowienia i do uspołecznienia państwa. Inaczej mówiąc, nastąpiłby proces "piemontyzacji" czy też "galicjizacji" peerelu. Teoretycznie można się z tym rozumowaniem zgodzić, co najwyżej dokonując rachunku strat i zysków. Ale tylko teoretycznie. Jeśli bowiem z szumu informacyjnego na temat przebiegu i rezultatów "okrągłego stołu" odcedzi się informacje nieistotne, okaże się, że powyższe twierdzenia są zbyt piękne, aby były prawdziwe.

Unarodowienie i uspołecznienie peerelu wymagałoby bowiem uruchomienia przynajmniej dwóch procesów: Po pierwsze - demontażu komunizmu. W sferze politycznej i w sferze gospodarczej. W sferze politycznej oznaczałoby to, niechby powolne i stopniowe, zastępowanie monopartyjnego systemu, jaki faktycznie istnieje w peerelu, przez typowy dla demokracji europejskich układ wielopartyjny.

W sferze gospodarczej niezbędne byłoby natomiast przynajmniej zapoczątkowanie reprivatyzacji przemysłu, choćby przez częściowe nawet uwłaszczenie załóg.

Tymczasem, lansowana przy "okrągłym stole" koncepcja pluralizmu politycznego realizowanego poprzez stowarzyszenia, to przecież nieporozumienie. Jej minimalizm jest wręcz zdumiewający, jeśli się weźmie pod uwagę, co się dzieje w innych krajach Bloku, choćby na Węgrzech.

Spektakl zaś, który przy podstoliku ekonomicznym odstawili solidarnościowi eksperci, przeszedł moje najgorsze obawy. Populizm ekipy Lecha Wałęsy, kto wie, czy nie przewyższa nawet koniunkturalnych popisów Miodowicza. Kiedy słucham na przykład okrągłych zdań o konieczności zastopowania inflacji poprzez kontrolę cen i płac, co - jak rozumiem - ma być elementem nowego ładu ekonomicznego, nie posiadam się ze zdumienia. Czyżby opozycja solidarnościowa uważała, że podoła takiemu zadaniu? I to z lepszym skutkiem niż znany nam z autopsji?

I nic o reprivatyzacji, nawet o przekazywaniu części majątku samorządom...

Po drugie - "wybijania się na niepodległość", choćby bardzo powolnego. Oczywiście nie liczyliśmy na to, że Lech Wałęsa czy Bronisław Geremek zawezwą do wystąpienia peerelu z Paktu Warszawskiego czy z EWPG. Jest jednak wiele kwestii szczegółowych, których poruszenie na pewno nie wywołałoby interwencji sowieckiej. Cóż by ryzykowali solidarnościowo-opozycyjni negocjatorzy, gdyby podjęli kwestię "doktryny Breżniewa", zażądali rachunku strat i zysków przynależności do EWPG, przedyskutowali status wojsk sowieckich w Polsce czy publicznie wypowiedzieli się o pożądanym, ich zdaniem, stosunkach politycznych i handlowych z EWG - o kwestiach szczegółowych, np. Zatoki Pomorskiej nie wspominając? Nic! - istnieje jeszcze przecież Gorbaczow...

Tymczasem tematyka ta przy "okrągłym stole" nie istniała. I nie tylko ta. Zmarnowano na przykład okazję, by wyrzucić presję na komunistyczne władze peerelu, by znacznie żywiej i jawniej upominały się o prawa polskiej mniejszości w Sowietach. Nie próbowano nawet upomnieć się o ochronę, o staraniach o odzyskanie nawet nie marzę, naszego dorobku kulturalnego, często rozryślnie dewastowanego. Nie podniesiono kwestii rekompensat dla rzeszy "sybiraków". A przecież teraz właśnie jest okazja, i kto wie czy nie niepowtarzalna, by choć trochę w tych kwestiach załatwić.

Wszystko wskazuje więc na to, że "okrągły stół" nie stanie się początkiem ograniczonej nawet "piemontyzacji" peerelu, przyczyni się natomiast do stabilizacji systemu według formuły, że wiele trzeba zmienić, żeby wszystko zostało po staremu.

Artur WIECZYŃSKI

KOMENTARZ NAJBARDZIEJ ZAJADŁEGO CZŁONKA REDAKCJI

Niżej podpisanemu wydaje się, że o takim właśnie rezultacie "okrągłego stołu" zdecydował grupowy interes solidarnościowych negocjatorów. Niesprivatyzowana, centralnie zarządzana gospodarka, to wymarzone pole do eksperymentów ekonomicznych i społecznych dla lewicowych intelektualistów. Wielki, niewydajny, centralnie zarządzany przemysł, to ogromny rezerwuuar klienteli dla związku zawodowego. Udział w wyborach z rumienia ruchu społecznego, to praktycznie pewny mandat, a poza tym luksus w porównaniu z ciężką nitką, jaką byłaby kampania pod szyldem jakiejś konkretnej partii.

Hipotezę powyższą potwierdza zgoda "Solidarności" na przyspieszenie terminu wyborów. Przy podstoliku politycznym spierano się o wszystko - prerogatywy prezydenta, jego kadencje, uprawnienia senatu, procent głosów wetujących itp. itd., tylko nie o termin wyborów. Gdyby jednak wybory były na jesieni, żadne cuda nad kandydatami, o których głośno, nie byłyby możliwe. Z korzyścią dla reprezentatywności posłów i senatorów solidarnościowych lecz z ewidentną stratą dla manipulujących związkiem ekspertów - intelektualistów.

Optymiści są przekonani, że obrady okrągłego stołu otworzyły w Polsce nową erę, wprawdzie wymuszoną, ale jednak współpracy opozycji związkowej z władzą polityczną. Pesymiści zaś, na rozwój wydarzeń w Polsce patrzą z dużym sceptycyzmem, twierdząc, że okrągły stół to jeszcze jedno szalbierstwo władzy, obliczone wyłącznie na propagandowy efekt. Pozostali - ani optymiści ani pesymiści - przestali się czymkolwiek interesować, wychodząc z założenia, że w Polsce zajmowanie się polityką i tak nie ma sensu.

Na podsumowanie tych sześciotygodniowych obrad przyjdzie pora i na naszych łamach. Wbrew pozorom, polityczny czas nie biegnie aż tak szybko, aby dzisiejsze komentarze traciły swoją aktualność już jutro. Obie strony solidnie się okopały i prowadzą wojnę pozycyjną. Jak wiemy, wojna pozycyjna z reguły trwa długo, a poza tym jest wyczerpująca. Skończyły się efektowne szarże, propagandowe wycieczki, odbijanie gwałtownym atakiem utraconych pozycji. Władze i opozycja związkowa prowadzą ze sobą dialog, który doprowadzić ma do honorowego zawieszenia broni. Bez uszczerbku prestiżu dla którejś ze stron. Zakończenie obrad okrągłego stołu na pewno nie zakończy tych zmagania. Celem władzy jest oddanie jak najmniej ze swych uprawnień, celem "Solidarności" jest takie usytuowanie się w strukturze prawnej państwa komunistycznego, aby w przyszłości nie spotkał jej los sprzed ośmiu lat. Blokadę przed likwidacyjnymi zakusami władzy stanowić ma obecność solidarnościowych posłów w peerelowskim sejmie. Na ile skuteczną - trudno w tej chwili ocenić. Sledząc wydarzenia przez ostatnie pół roku, trudno zająć jakąś jednoznaczną postawę. Zapewne ani optymiści ani pesymiści nie mają w pełni racji. Prawda, jak zawsze, leży gdzieś po środku. Ja jednak raczej skłaniałbym się do umiarkowanego pesymizmu. Dlaczego? Postaram się to wyjaśnić poniżej.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że sytuacja polityczna Polski przypominała szachowego pata. Komuniści, blokując dalej rozmowy z "Solidarnością", skazywali Polskę na trudne do wyobrażenia wstrząsy społeczne, których konsekwencją, jeżeli oczywiście nie nastąpiłaby mało prawdopodobna obecnie inwazja wojsk sowieckich, byłoby dalsze umocnienie pozycji "Solidarności". "Solidarność", nie przystępując do proponowanych rozmów, być może nie straciłaby nic w oczach swoich zwolenników - natomiast straciłaby zapewne zachodnią pomoc finansową, budząc podejrzliwość u progorbaczowsko zorientowanych polityków zachodnich. Obie strony musiały więc, po latach wzajemnych głębokich animozji, usiąść do stołu. Dla władzy rozmowy były konieczne. Rozmowy, co może zabrzmie paradoksalnie, umacniają istnienie władzy komunistycznej w Polsce, dostarczając jej, w razie pozytywnego ich wyniku, po raz pierwszy od czterdziestu lat, czyli od upadku PSL, legitymizacji

To niewyobrażalnie dużo. Wszelkie ustępstwa na rzecz opozycji są tego warte. Oczywiście prócz podkopania istoty ustroju politycznego. "Solidarność" musiała przystąpić do rozmów. Wieńczyły one wieloletnie nawoływanie Lecha Wałęsy do ugody i porozumienia. "Solidarność" miała jednak siedem długich lat, aby do rozmów przygotować się bardzo starannie. I by w ich trakcie wykorzystać w sposób bezwzględny przymusową sytuację władz. Przymusową - gdyż, z czego partia zdawała sobie sprawę, wprowadzenie nowego stanu wojennego niczego by i tak nie załatwiło. Polityka jest niczym innym tylko konsekwentnym wykorzystywaniem nadarzających się przychylnych okoliczności. Dla "Solidarności" taki właśnie czas nadszedł pod koniec 1988 roku.

Do okrągłego stołu zasiadły obydwie strony, ale tak naprawdę, co w nich chce osiągnąć, wiedziała tylko władza. Jej celem było stworzenie spektakularnego widowiska, theatrum współczesnej polskiej polityki, w którym będzie jak najmniej konkretów i jak najwięcej nowomowy i ogólników. Ponieważ obrady okrągłego stołu musiały się w jakiejś mierze odbywać przy otwartej kurtynie, nieprzygotowana do rozmów "Solidarność" była dla władzy bardzo wygodnym partnerem. Weźmy choćby taki przykład. Obie strony zgodziły się, że Polsce potrzeba pluralizmu w życiu społecznym i w informacji.

Dla władzy pluralizm - to istnienie "Solidarności" i "NZS", a także funkcjonowanie stowarzyszeń. Okazało się, że dla "Solidarności" - tak samo.

Zakres manewru zakreślała jednak władza i "S" bardzo ściśle tego przestrzegala. Z irytacją słuchałem wywodów Kuronia, Michnika czy Geremka ze stolika politycznego, którzy mówiąc o pluralizmie, zapomnieli o najważniejszym - o istnieniu partii politycznych. Bez wielopartyjności w życiu publicznym nie może być mowy ani o pluralizmie ani o demokracji. Wyakcentowanie tego przed kamerami peerełowskiej telewizji wykraczało poza możliwości tych steranych w bojach opozycjonistów. zresztą nawet akceptacja koncepcji władzy w sprawie wyborów do sejmu, wymagałaby mocnego pokreślenia, że zaproponowana ordynacja nie ma nic wspólnego z wolnymi wyborami i z demokracją, mimo tego, że zachodni entuzjaści rozplywali się nad nią w zachwytach.

"Solidarność" w tym przypadku powinna zdobyć się na męskie postawienie sprawy. Miał zachwycania się nad tym, co władza dała opozycji, Związek powinien powiedzieć, że wchodzi w peerełowskie struktury na zasadach zaproponowanych przez władze, z własnymi małymi modyfikacjami, gdyż nie widzi innej możliwości ani sposobu brania udziału w życiu politycznym.

O kondycji państwa i zadowoleniu obywateli decyduje jednak stan gospodarki. W Polsce ten stan jest opłakany. To właśnie zapaść ekonomiczna skłoniła komunistów do ugody z "Solidarnością". Gospodarka jest najistotniejszym elementem sprawowania przez partię władzy. Wszystkie zaproponowane przez komunistów reformy gospodarcze nie naruszają status quo - prymatu polityki nad ekonomią. Celem władzy jest pobudzenie życia gospodarczego, ale bez utraty wpływu partii na ekonomię. Tę kwadraturę koła "Solidarność" kupiła, co powoduje, że wszelkie rozmowy są pozbawione sensu. Bicie piany przy ekonomicznym stoliku nie wróży nam nic dobrego. "Solidarność" przystąpiła do ekonomicznych rozmów nieprzygotowana, bez żadnego programu. Jedyna od wielu lat szansa, aby w polskim życiu gospodarczym coś się zmieniło - została zaprzepaszczona. To klęska, nie tylko "S", ale wszystkich, którzy muszą zarabiać i wydawać w Polsce. Indeksacja, ogólniki na temat wolnego rynku i samorządów, bez podstawowych ustaleń na temat własności, wolnych cen, wolnych płac bez uzgodnienia pierwszych kroków umożliwiających reprivatyzację - to po prostu strata czasu i mydlenie oczu.

Ekonomiści z "Solidarności" nie byli przekonani o potrzebie takich dyskusji - występowali w roli związkowców, zwracając uwagę na obronę interesów pracujących. Wolna gospodarka - to zamykanie zakładów, to bezrobocie, to przejściowe obniżenie stopy życiowej wielu ludzi. Związkowcy muszą powiedzieć - nie. Niestety dla tego kraju jest to, że o reformie ekonomicznej dyskutują komuniści, którzy panicznie boją się wszelkiej reformy i przywódcy związkowi, którzy z zasady występują przeciw wszelkim radykalnym przemianom w gospodarce, mając na uwadze bieżące interesy pracujących.

Dyskusje przy tych dwóch wybranych stolikach politycznym i ekonomicznym powodują, że nie zaliczam się do optymistów. Uważam, że możliwości, które teraz wyłoniły się, nie zostały wykorzystane przez "S", a więc jedyną siłę opozycyjną, która zasiadła przy okrągłym stole. Grając w orkiestrze dyrygowanej przez komunistów - "Solidarność", zamiast przyczynić się do ożywiania i pobudzenia polskiego niezależnego życia politycznego, wprowadziła w to życie element uśpienia, ztracając swoją tożsamość polityczną, budząc zniechęcenie nawet wśród zagorzałych niegdyś zwolenników. Za mało kompetencji i wyobraźni, za wiele strachu i wdzięczności za zaproszenie, za wiele umiarkowania w umiarkowaniu.

Co z tego wszystkiego wyniknie, pokaże przyszłość - zapewne bardzo już bliska. Co do mnie, mam poczucie straconej kolejnej szansy, utwierdzające mnie w przekonaniu, że walka z komunizmem jest znacznie dla nas wszystkich korzystniejsza, niż ułuda rozmów jak partner z partnerem.

Wacław WOJENNY

PROBIERZ INTENCJI

Coraz więcej w oficjalnej propagandzie mówi się i pisze o Katyniu. I dobrze, bo jest to przecież najkrwawsza "biała plama" w stosunkach polsko-sowieckich. Na razie mówi się o tym ostrożnie, półgębkiem wspominając, że mord na polskich oficerach mógł być dokonany przez sowiecką policję polityczną. Minie zapewne parę miesięcy, zanim partyjna propaganda wykrztusi prawdę o tym jednym z najokropniejszych aktów ludobójstwa wszystkich czasów. Z drugiej strony, opozycja uczyniła ze sprawy katyńskiej probierz intencji wschodniego sąsiada wobec Polski. W dwustronnych stosunkach polsko-radzieckich, sprawę katyńską uznano za najistotniejszą w ułożeniu wzajemnych stosunków na nowych zasadach.

Tymczasem publiczne wskazanie na Sowietów jako sprawców mordu tak naprawdę w tych stosunkach niczego nie zmieni. Prawda o Katyniu funkcjonowała w społecznej świadomości od momentu odkrycia grobów przez Niemców w 1943r. Oficjalny komunikat potwierdził to, o czym wszyscy, począwszy od partyjnych dygnitarzy, byli i tak przekonani. Wyznanie prawdy o zamordowaniu oficerów nie będzie stanowiło żadnego, poza moralnym, zadośćuczynienia dla żyjących jeszcze członków ich rodzin. Tym rodzinom należy się odszkodowanie materialne, podobnie jak i wszystkim innym Polakom, którzy wywiezieni po roku 1939, 1945 w głąb Rosji, pracowali w niewolniczych warunkach, budując sowiecki komunizm. Wyjaśnienie sprawy Katynia stanie się zaledwie jednym z elementów odkłamywania roli Związku Radzieckiego w zniewalaniu i sowietyzowaniu Polski. Zbrodnia katyńska jest tylko niewielką częścią ogromu zbrodni, popełnionych przez komunizm na obywatelach polskich i obywatelach innych narodowości.

W epoce Gorbaczowa i pieriestrojki bardzo wygodnie powiedzieć, że to psychopata Stalin - człowiek o instynktach mordercy - był sprawcą niewyobrażalnych zbrodni, porównywalnych z hitlerowskimi i polpotowskimi. Takie wyjaśnienie jest tylko częściowo prawdziwe. Takich Stalinów czy Hitlerów rodzi się w każdym kraju mnóstwo i z reguły trafiają oni na krzesło elektryczne, odsiadują długoletnie wyroki w więzieniu lub izolowani są w szpitalach psychiatrycznych. Nie sprawują jednak władzy politycznej, to tego totalitarnej, gdyż system i polityczny i prawny eliminują takie indywidualia z życia politycznego i społecznego. W systemie totalitarnym, ludzie pokroju Stalina są wymarzonymi kandydatami do obejmowania najwyższych funkcji. W porę potrafią uporać się z przeciwnikami wewnątrz mafii partyjnej, by mieć, po objęciu najwyższej władzy, zupełny komfort w jej sprawowaniu. Katyń, obozy koncentracyjne, łagry, wywózki, pospolite mordy całych grup narodowościowych - to nie dzieło Stalina. Józef Wisionorowicz był uzdolnionym kontynuatorem dzieła, rozpoczętego jeszcze przez Lenina. System polityczny komunizmu nie mógł inaczej funkcjonować niż tylko przez morze przelanej krwi. Mówiąc o Katyniu, nie wystarczy wskazać, że winien jest Stalin i jego najbliżsi towarzysze. To naprawdę niczego nie wyjaśni. Mówiąc o zbrodniach hitlerowskich, potępia się nie tyle samego Hitlera, ile przede wszystkim faszyzm czyli system polityczny i ideologię, które legły u podstaw zbrodni.

Bez wypowiedzenia tej samej prawdy o zbrodniach stalinowskich, bez przypisania tych zbrodni ideologii komunistycznej, ujawnienie prawdy o Katyniu będzie zaledwie dotknięciem wierzchołka góry lodowej. Bez walki klasowej i nienawiści do "klas posiadających" nie byłoby Stalina - to właśnie system komunistyczny wykreował go na wodza i dał mu do ręki absolutną władzę, porównywalną jedynie z władzą egiptskich faraonów. Nie sądzę, by Gorbaczowa było stać na potępienie ideologii, która przecież i jego, oczywiście w zmienionych warunkach, doprowadziła do najwyższej władzy. Stwierdzenie, że to mordercy z NKWD zastrzelili z zimną krwią tysiące polskich oficerów w lasu katyńskim, a pozostałych zapewne potopili na Morzu Białym, nie spowoduje, że z dnia na dzień stosunki między narodem polskim a rosyjskim wejdą w nową przyjazną fazę. Zbyt wiele bolesnych spraw nas dzieli. Naiwnością byłoby twierdzenie, że te bardzo bolesne rany zbliznią się nitychmiast. Te rany muszą jednak wcześniej czy później pozasychać, choćby dlatego, że skazani jesteśmy na wzajemne sąsiedztwo.

Zresztą nie tylko Polakom, także Rosjanom należy się potępienie systemu który w obydwu krajach został wprowadzony siłą i do dzisiejszego dnia siłą jest przy życiu utrzymywany. Samo wskazanie na Stalina jako arcyzbrodniarza

nie wystarczy. System komunistyczny, w specyficznych okolicznościach, jest nadal zdolny korzystać ze stalinowskiej praktyki w obronie swoich podstawowych interesów. Potępienie stalinowskiej praktyki powinno implikować potępienie samego systemu, w ramach którego możliwe było ludobójstwo. Potępienie przez zachodnich Niemców systemu faszystowskiego i prawne zakazanie działalności partii tego typu stało się podstawą budowania w tym państwie zrębów systemu demokracji parlamentarnej i wolnościowej polityki społecznej. Podobnych zachowań oczekujemy przede wszystkim od kraju, w którym to się zaczęło - od Związku Sowieckiego. Na razie dokonują się, w nim kosmetyczne zabiegi, zmierzające nie tyle do zmiany systemu, ile do uczynienia go bardziej strawnym dla świata i dla własnych obywateli. Probierzem intencji Związku Sowieckiego wobec Polski, niewystarczającym, ale rozpoczynającym proces normalizacji, powinno być potępienie zbrodni systemu komunistycznego oraz nieingerencja w wewnętrzne sprawy polskie, wówczas gdy sami Polacy zechcą zdecydować o kształcie i charakterze swojego państwa.

Metody ~~NOI~~-WIOLENCZYK

SKANDAL WOKÓŁ SANKCJI * według "THE AMERICAN SPECTATOR" nr. 3, marzec 1988

Pod koniec 1986 r. Kongres Stanów Zjednoczonych - kierując się moralnym oburzeniem i szczytnymi zamiarami - postanowił ukarać Południową Afrykę i dać wyraz swojej solidarności z prześladowanymi masami murzyńskimi w tym kraju. Środkiem, prowadzącym do tego celu, miało być nałożenie sankcji, które - jak liczone - doprowadzą do wykluczenia RPA ze światowych struktur gospodarczych, aż do chwili gdy państwo apartheidu opamięta się, a może też zostanie rzucone na kolana.

Ci, którzy dokonywali politycznego i gospodarczego ekskomunikowania RPA, zignorowali w swojej naiwności fakt, iż sankcje, wobec braku groźby bezpośredniej interwencji zbrojnej, przynosiły - jeśli spojrzymy na historię stosunków międzynarodowych - bardzo mizerne efekty. Co więcej, pytanie, czy nałożenie sankcji spowoduje zniesienie apartheidu oraz przekazanie władzy w ręce czarnej większości czy też nie - zawsze było drugorzędne. Głównym celem posunięcia Stanów Zjednoczonych wcale nie było uwolnienie Murzynów w RPA lecz uwolnienie Kongresu od frustracji, spowodowanej niepodejmowaniem żadnych kroków.

Oburzenie moralne oraz skłonność do wtrącania się w sprawy obce większości polityków i praktycznie niezrozumiałe dla wszystkich ludzi tego zawodu, stały się specjalnością Amerykanów - specjalnością, której obawia się reszta świata. W dzisiejszym świecie można spotkać już niewiele tak przerażających widowisk jak "spektakl", pokazujący amerykańskich legislatorów, poszukujących błyskawicznego rozwiązania problemów innych. Jeśli jednak nałóg ów zbyt często czynił z polityki zagranicznej USA dążenie do szaleństwa za wszelką cenę - do owego szaleństwa najszybciej i w sposób najbardziej spektakularny dążyli ci, którzy sądzili, że jedyną drogą do ponownego włączenia RPA do rodziny cywilizowanych narodów jest wykorzenienie w tym państwie wszelkich wpływów amerykańskich.

Obecnie, gdy mija ponad dwa i pół roku od wydania przez Kongres Ustawy Antypartheidowej, rozmiary tego szaleństwa powinny być widoczne dla każdego, wyjąwszy oczywiście tych kongresmenów i senatorów, którzy - osiodławszy "konia sankcji" - pragną dojechać na nim aż do tegorocznych wyborów. /.../

Dla niektórych osób - raczej dla szlachetnych umysłów aniżeli zimnych drani - to ekskomunikowanie RPA było jedynym sposobem, by przekonać Pretorię, iż błędzi. Biali mieszkańcy RPA mieli poczuć zagrożenie i, stawiając bogactwo ponad rasizm, zmusić swój rząd do wprowadzenia zmian, zapobiegając w ten sposób rozlewowi krwi. Dla innych wszelako pożądanym rozwiązaniem /nie zaś problemem samym w sobie/ była rewolucja. Sankcje, kalkulowali oni, doprowadzą czarnych południowo-afrykańczyków do takiej nędzy, że nie mając już nic do stracenia, powstaną oni przeciw śmiertelnie osłabionym prześladowcom - doprowadzając do realizacji utopii, w której wszyscy byłiby równi w ubóstwie.

* W lecie 1986r. w "N" nr 55/56 przedrukowaliśmy za "COMMENTARY" artykuł Paula Johnsona "Wyciąg o Południową Afrykę" w "niekonwencjonalny" sposób przedstawiający sytuację w tym kraju. Niniejszy tekst wywodzi się z tego samego /neokonserwatywnego/ stylu myślenia politycznego, ukazując pułapki liberalnego /w rozumieniu amerykańskim/ humanizmu - Redaktor Dydurny.

Tych, którzy odczuwali pewien niesmak na myśl o dalszym karaniu i dalszym doprowadzaniu do ruiny czarnych obywateli Południowej Afryki, ucziszano argumentem, iż jest to coś, czego domagali się sami czarni przywódcy RPA.

W każdym razie, jak sugerowano, skutki sankcji bardziej odczuli by bogaci biali niż czarni, którzy i tak posiadają niewiele - prognoza ta nie bierze jednak pod uwagę zintegrowania gospodarki RPA oraz pewnego prostego faktu - otóż jeśli odbierze się jedzenie człowiekowi grubemu - będzie on cierpiał, jeśli jednak uczyni się to samo chudemu - umrze.

Ponad tymi rozważaniami i w ich podtekście kryło się przekonanie, iż udane przejęcie władzy przez czarną większość jest czymś nieuchronnym, a może nawet czymś, co ma nastąpić lada chwila oraz, iż dla długofalowych interesów Ameryki na tych obfitujących w bogactwa naturalne terenach, ważne jest, by "stanąć po właściwej historycznie stronie". Gdyby bowiem ów krok nie powiódł się, ziemie te wpadły w ręce Moskwy i jej wasali. Podobne przekonanie wyrażali nie tylko zwolennicy sankcji w Kongresie USA lecz również władze miejskie i stanowe w Ameryce, które poprzez bojkot i zagrożenie bojkotem, spowodowały, iż - według ostatnich danych - 170 firm amerykańskich działających w RPA, w popłochu pakuje manatki.

Z drugiej jednak strony, jakie efekty - wliczając nie inwestowanie w RPA - przyniosły sankcje? Czy zapowiedzi stały się faktem po roku obowiązywania nowych ustaw?

Na odpowiedź na pierwsze pytanie nie czekaliśmy zbyt długo. Prezydent Botha szybko wyciągnął odpowiednie korzyści z nieoczekiwanego prezentu USA - na początku maja 1987r. rozpiął on i wygrał wybory, licząc słusznie na to, iż w obliczu zagrożenia z zewnątrz biali wyborcy dokonają zwarcia szeregow. W państwie, w którym historia doprowadziła do powstania silnych dążeń ku izolacjonizmowi, nie mogło być inaczej. Południowa Afryka nie jest tu wyjątkiem. Dzieje innych krajów uczą nas - a przynajmniej powinny - iż ludzie, przekonani, że ich bezpieczeństwo zostało zagrożone, stawiają to bezpieczeństwo ponad względami materialnymi.

Wszelako Botha źle ocenił pewien istotny aspekt całej sprawy. Otóż jego własne próby wprowadzania reform - którymi wzgardziła reszta świata - doprowadziły do tego, iż on sam wiele stracił w oczach co bardziej konserwatywnych społeczników. Gdyby doszło do tego, że RPA zostałaby zagrożona, potrzebowaliby oni kogoś silniejszego. Efektem tego było znaczne zwiększenie liczby zwolenników ugrupowań prawicowych oraz pozbawienie statusu oficjalnej opozycji liberalnej partii PFP /Progressive Federal Party - Postępowa Partia Federalna/. Botha - w przeciwieństwie do Kongresu USA - dobrze pojął tę lekcję. W rezultacie nałożone sankcje nie uczyniły bynajmniej z RPA państwa nastawionego bardziej pojednawczo, tylko umocniły jej bezkompromisowość.

Senatorzy, popierający sankcje, usiłowali za wszelką cenę ukryć konsternację. Powstanie ruchu niezależnego, wyłonienie się na lewicy grupy nacjonalistów-dysydentów oraz okrzykane spotkanie około 60-ciu białych obywateli RPA i przywództwa ANC /Afrykańskiego Kongresu Narodowego/ w Durbanie - wszystko to dowodziło, iż sankcje przynoszą pożądane skutki, tyle że nieco wolniej niż oczekiwali. Bezcelowe było podkreślanie, że niezadowolone liberalnych Afrykanerów narastało począwszy od lat 70-tych. Tymczasem reformy w RPA zostały zahamowane, skrajna prawica urosła w siłę, zaś jedyne liberalne stronnictwo na arenie politycznej RPA - czyli partia PFP - zostało śmiertelnie osłabione.

Nie wszystko jednak zostało stracone. Zwiększona polaryzacja rozbitych społeczności południowo-afrykańskich powinna co najmniej spodobać się tym, którzy twierdzą, iż sankcje przybliżą dzień nadejścia rewolucji. Wprawdzie byli tacy, którzy zaakceptowali pogląd - zrodzony w mózgach lewicowych mędrców na uniwersyteckich kampusach na Zachodzie i przekazany do oblężonych miast w RPA - iż bitwa mimo wszystko nie została przegrana. Nie przekonał on jednak wszystkich czarnych mieszkańców Południowej Afryki, iż powinni oni zaakceptować chwilowe pogorszenie warunków życia, po to, by móc odnieść ostateczne zwycięstwo.

Dziś oni sami, ANC, a nawet Moskwa, uznają takie kalkulacje za spóźnione przynajmniej o kilka dekad. Prezydent Botha nikomu nie wręczył takich kluczy do oblężonej twierdzy. Lata poświęceń w imię niepewnych celów nie muszą wprawdzie przyprawić o zmartwienia kongresmenów i senatorów - nie spieszy się im przecieżyć, spieszy się natomiast pod czarnym radykałom, którzy zaczynają dokonywać bolesnego i otrzeźwiającego zarazem rachunku gospodarczego. Jego rezultat dowodzi bowiem, iż biali mieszkańcy RPA, bez względu na to, jak bardzo niepewnie czują się politycznie, znacznie skorzystali na sankcjach, których celem było ich zubożenie.

Nie trzeba być ekspertem, by odpowiedzieć na pytanie, dlaczego. Jak ostatnio powiedział Tony Bloom, liberalny businessman południowo-afrykański: firmom południowo-afrykańskim udało się pozyskać takie nowe techniki, umiejętności managerskie i pozyskać takie rynki, zdobycie których trwałoby całe lata. Spośród 170 firm amerykańskich, które opuściły RPA w ciągu ostatnich kilku lat, więcej niż połowa sprzedała swoje majątki - po cenach "likwidacyjnych" - firmom południowo-afrykańskim,

doprowadzając w ten sposób do powstania około 100-osobowej grupy błyskawicznych milionerów: wszyscy z nich to biali.

Jak można było oczekiwać, te nieprzewidziane skutki rozwścieczyły członków lobby przeciwapartheidowego, którzy woleliby politykę spalonej ziemi, jej efektem byłaby utrata pracy przez tysiące czarnych obywateli RPA. Niektóre, opuszczające ów kraj, osoby - pracownicy koncernów międzynarodowych - zmuszone były poczynić takie kroki, w wyniku których to właśnie nastąpiło /w konsekwencji niektórzy czarni przywódcy południowo-afrykańscy mieli nad czym myśleć/. Większość jednak firm poszła w ślady koncernu General Motors, który sprzedał swój majątek lokalnym przedsiębiorstwom, one zaś natychmiast zwolniły 500 Murzynów oraz przestały przestrzegać zasad aktu Sullivana, który obowiązywał przedsiębiorstwa amerykańskie, działające w RPA - chodziło o wprowadzenie wśród załóg "programów odpowiedzialności społecznej" oraz integracji pracowniczej - w końcu zaś zaczęły one sprzedawać swoje towary rządowi Południowej Afryki.

Istotnie, wpływ zahamowania zachodnich inwestycji w RPA na zakres obowiązywania aktu Sullivana - czyli na położenie czarnej siły roboczej w RPA - jest ogromny. Począwszy od listopada 1986r. aż do listopada roku następnego, liczba tych, którzy wyrazili gotowość przestrzegania zasad tego aktu, zmniejszyła się o połowę, towarzyszyła temu wyprzedaż majątków firm amerykańskich Południowym Afrykańczykom, którzy uznali, iż w sytuacji narastającego kryzysu gospodarczego nie mają obowiązku przeznaczania znacznej części swoich zysków na kosztowne programy społeczne. Jednak akt Sullivana - który za najlepszych lat znacznie przyczynił się do poprawy położenia materialnego czarnych społeczności w RPA - nie był jedyną "ofiara" polityki sankcji. Miliardy z funduszy rządowych RPA, które mogłyby zostać przeznaczone na budowę nowych szkół i szpitali oraz na ogólną poprawę warunków życia Murzynów, zostały wydane na budowę zbiorników do przechowywania ropy naftowej /oraz odpowiednich urządzeń technicznych/ a także na kosztowny państwowy przemysł zbrojeniowy - i jedno i drugie to spuścizna po wcześniejszych sankcjach.

A przecież tego właśnie chcieli zwolennicy sankcji, nieprawdaż? Obumieranie chorej i znajdującej się w izolacji gospodarki, aż do chwili gdy czarni powstaną przeciw rządowi, o ile wcześniej nie uczynią tego biali. Raz jeszcze praktyka zaprzeczyła teorii. Po latach stagnacji, której nie spowodowały czynniki zewnętrzne, tylko nieodpowiednia organizacja pracy, sytuacja gospodarcza RPA wolno, bo wolno, ale nieustannie się poprawia. Jedną z przyczyn tej poprawy jest niski kurs południowo-afrykańskiego randa - wywołany odpływem amerykańskich kapitałów bankowych - który spowodował, iż towary z RPA stały się na rynkach światowych bardziej konkurencyjne. Innym powodem było nastawienie się przemysłu południowo-afrykańskiego na wytwarzanie towarów, mających zastąpić towary dotychczas importowane oraz powstanie całych gałęzi przemysłu "przeciw sankcyjnego" - businessmeni musieli bowiem czymś zastąpić utracone rynki. Nie powinno też nikogo dziwić, iż handel zagraniczny RPA przyniósł temu państwu w ubiegłym roku czysty zysk - a głównym partnerem Południowej Afryki staje się Japonia. Nie zawracając sobie głowy względami moralnymi, Tajwan, Singapur i Korea Południowa, również bardzo szybko zajmują miejsca opróżnione przez USA, nie ma też żadnych wątpliwości - są **z**ato niezliczone dowody - że kraje bloku wschodniego wcale nie stawiają poparcia dla Afrykańskiego Kongresu Narodowego ponad własne pragnienie twardej waluty.

Jak dotychczas jedynymi przegranymi w grze o sankcje są zatem czarni południowo-afrykańczycy. Dokładne liczby obrażające ilość utraconych, w wyniku sankcji, miejsc pracy są w najlepszym wypadku, niezbyt dokładne. Wiadomo jednak na pewno, iż co najmniej ćwierć miliona obywateli RPA zostało zwolnionych, w ciągu ostatnich trzech lat, z powodu sankcji i recesji gospodarczej. Spośród 600 tysięcy osób, które każdego roku wracają na rynek pracy, jedynie niewiele - jeśli w ogóle ktokolwiek - otrzyma pracę w pełnym wymiarze godzin. Ponieważ każdy zatrudniony żywi mniej więcej sześciu członków rodziny, zasięg i rozmiary nowego ubóstwa są przeogromne.

I znów - czy nie jest to coś, czego domagali się sami czarni obywatele RPA? Odpowiedź brzmi: nie. Kolejne badania opinii publicznej, niezależnie od tego, kto układał pytania, przynosiły tę samą odpowiedź: tylko 25% popiera sankcje i zahamowanie obcych inwestycji, nawet gdyby miało to oznaczać znaczne pogorszenie warunków bytowych.

Nie ma to jednak żadnego znaczenia dla zwolenników polityki sankcji w amerykańskiej legislaturze. Takich choćby jak kongresman Charles Rangel, który przy obojętności administracji waszyngtońskiej, okazał się ponysłodawcą wyjątkowo perfidnej sankcji, polegającej na nałożeniu podwójnego opodatkowania na ponad setkę przedsiębiorstw amerykańskich, które jeszcze działają w RPA. Gdy przedsiębiorstwa te staną w obliczu konieczności zapłacenia rachunku w wysokości 57 mln dolarów, większość z nich zapewne natychmiast spakuje manatki i wycofa się z jakiegokolwiek działania w RPA. Sankcja ta rzeczywiście będzie bardzo dotkliwa - tylko dla kogo? W kogo najboleśniej uderzy? Oczywiście nie w południowo-afrykański business, któremu senator Rangel sprawnie nad prezenty: możliwość wykupowania

majątki po Amerykanach, nienal za bezcen. Jest to cios dla tysięcy czarnych robotników, którzy staną w obliczu utraty pracy oraz dla tych obywateli RPA, którzy sądzili dotąd, iż posunięcia USA wobec ich kraju mają zawsze pozytywne cele.

Oczywiście, kongresmana tego nigdy tak naprawdę nie interesowało "wpływanie" na rozwój wypadków w RPA. "Wpływy" oznaczają bowiem "obecność", dzięki zaś chytremu pomysłowi pana Kangel, wkrótce będzie można mówić o "nieobecności" USA w RPA. Kongresman Kangel oraz jego ideologiczni pobratymcy zainteresowani są natomiast wywieraniem "wpływu" na amerykańskich wyborców, którzy zostali przekonani, głównie dzięki wysiłkom aprobującej takie poglądy pras, - iż opozycja wobec sankcji oznacza rasizm.

Tymczasem rasizm to odbieranie czarnym i ubogim, i oddawanie bogatym i białym, to ignorowanie pragnień czarnych robotników, to pozbawienie Murzynów pracy i skazywanie ich rodzin na niedostatek, to umacnianie białych władców RPA w bezkompromisowości, to, wreszcie, pozbawianie USA jakiegokolwiek wpływu na sytuację. Ci jednak, którzy mogliby tak powiedzieć, są ubodzy i są daleko. I co najważniejsze, nie głosują oni w Ameryce.

FLEUR DE VILLIERS

opracował: MASON

ROZMOWY "NIEPODLEGŁOŚCI" *
II. Z CZĘSKIM EMIGRACJONISTĄ WYDAWCĄ
ALEKSEM TOMSKIM

- Pomagasz nam od dawna. Skąd Twoje zainteresowanie tym nurtem polskiej opozycji, a w szczególności sympatia dla "NIEPODLEGŁOŚCI"?

- To jest bardzo łatwe pytanie. Przede wszystkim ja jestem polskiego pochodzenia, mama była Polką. Moje zainteresowanie Polską jest zupełnie naturalne, także dlatego że ja - podobnie jak Mackiewicz - jeżeli miałbym powiedzieć, jakiej jestem narodowości, to bym się określił jako antykomunista. Bardzo często lewica narzeka, że takie samookreślenie nie wystarcza. Ale ja myślę, że antykomunizm to program bardzo pozytywny, dlatego, że być antykomunistą to, przede wszystkim, być przeciwko totalitaryzmowi. A życie minus totalitaryzm jest życiem normalnym. Już mniej jest ważne, jakim jest ustrój, jaki dokładnie jest charakter państwa itd. Totalitaryzm to rak XX wieku, tak że ja nie uważam antykomunizmu za program negatywny. Jeżeli zaś ma się takie nastawienie do rzeczywistości - to Polska jest oczywiście interesująca dla wszystkich ludzi tego typu. Dlatego, że jest jednym z największych narodów podbitych przez Sowiety i jest narodem, który się broni. Jedynie Polska od wojny pozbyła się trzech rządów. Oczywiście, zastąpiły je inne rządy komunistyczne - nie doszło do zmiany podstawowej, ale jednak jest to bardzo ważne. Opór w Polsce jest największy, najmocniejszy. A moje zainteresowanie jest o tyle mocniejsze, że /jak już powiedziałem/ jestem polskiego pochodzenia, że matka jest Polką.

Teraz pismo. Właściwie było dla mnie wielką niespodzianką - nie samo istnienie pisma takiego jak "NIEPODLEGŁOŚĆ", ale właśnie brak takich pism po 13 grudnia 1981 roku. Wydawałoby się przecież, że wszelkie nadzieje na kompromis, dialog, na współpracę z komunistami, takimi czy innymi, okazały się złudne. Doszło przecież do strasznej klęski "Solidarności", która była ruchem pacyfistycznym, zupełnie poza tradycją polską - polskich powstań i polskiego heroizmu - i wydawałoby się, że właśnie po Grudniu ten nurt załamie się. Okazało się, że się tak nie stało, że dążenie do współpracy z rządem, który ruch zdławił, artykułowano mocniej nawet niż w czasie "Solidarności".

To było dla mnie niespodzianką. I na pustyni tego "wrzasku" o kompromis pojawiło się tylko jedno pismo. Oczywiście dzisiaj sytuacja jest o wiele lepsza. Dziś ruch niepodległościowy się rozwija. I "NIEPODLEGŁOŚĆ" zainicjowała ten nurt, a dzisiaj może nawet już stoi nieco na uboczu - ja nie wiem. W każdym razie, sytuacja się powoli zmienia. Choć ciągle mi się wydaje, że główną obowiązującą doktryną polityczną jest doktryna dialogu i kompromisu. Otóż ja uważam, że dialog i kompromis można robić, ale tylko z pozycji siły, tylko z pozycji osiągnięć politycznych. Sam w sobie nie jest on jednak postulatem politycznym.

Tak samo jak pokój. Już od czasów Lenina mamy problem pokoju. Walczy się o pokój. Nie można walczyć o pokój. Można walczyć o równowagę sił. I mieć pokój. Tak samo jak można walczyć o niepodległość i w końcu wziąć pod uwagę wszelkie realia polityczne i dojść do jakiegoś kompromisu, ale nie można walczyć o kompromis. To jest absurd. I w tej kwestii, wydaje mi się, "NIEPODLEGŁOŚĆ" zrobiła bardzo dużo, a moje zainteresowanie nią dlatego było takie duże, że podzielałam właśnie ten kierunek polityczny.

- Czy podobny nurt polityczny, czy podobne pisma istnieją lub czy mogą zaistnieć w Czechosłowacji?

- Sytuacja opozycji w Czechosłowacji jest bardzo złożona. Jest to przede wszystkim opozycja kulturalna, opozycja o niepodległość myśli, słowa, nawet grup muzycznych, o niepodległość Kościoła. Chodzi o niezależność grup, które chcą robić swoje, a resztą się nie interesują. Dopiero w tym roku pojawił się nurt o cechach już, prawdopodobnie, politycznych. Do niedawna chodziło o prawa ludzkie albo o protesty helsińskie, obronę tożsamości i prawa do istnienia grup społecznych, kulturalnych, w tym największej - Kościoła Katolickiego. Polityczne grupy pojawiły się w rzeczywistości dopiero teraz. Na jesieni 1988 r. opublikowano manifest gdzie już wyraźnie, a większość podpisujących się pod manifestem była członkami Karty 77, chodziło i o niepodległość i o demokrację. Ale jest to pierwszy przypadek od 1977 roku, kiedy żądania naprawdę polityczne występują. No może jeszcze ulotki, które pojawiają się w Pradze w tym roku. Mają one wyraźnie polityczny charakter, bo nawołują do demonstracji, ale to dopiero w 1988 roku. Oczywiście zróżnicowanie myśli politycznej, w sensie akademickim, istnieje dlatego, że są różne pisma o różnych poglądach politycznych - taka opozycja istniała, ale aktywna opozycja polityczna pojawiła się dopiero w tym roku.

- W Polsce najbardziej znana jest oczywiście Karta 77, podobnie jak w Czechosłowacji czy na Zachodzie nurt korowski, jeśli chodzi o opozycję polską. Czy oczywiście nurt lewicowy dominuje w opozycji czechosłowackiej?

- To jest skomplikowane pytanie, dlatego że trzeba brać pod uwagę prawidłowość, jaka istnieje na całym świecie, nie tylko w Czechosłowacji czy w Polsce. Lewica jest bardziej aktywna. Naprawdę świadomi socjaliści w Karcie 77 zawsze stanowili mniejszość. Zawsze. Przez emigrację lewica w Karcie 77 poniosła bardzo duże straty, dlatego że większość z aktywnych działaczy, którzy pozostali w ciągu ostatnich 10 lat na Zachodzie pod presją policji to ludzie lewicy. W ten sposób lewica się bardzo zmniejszyła liczebnie. Z drugiej strony lewica wymiera. W większości są to starsi ludzie. Nie ma młodych ludzi - zwolenników opozycji socjalistycznej. Ta opozycja w pewnym sensie wymiera. Jest skazana na śmierć. Oczywiście nie zupełnie, dlatego, że na pewno, jak się trochę sytuacja zmieni na lepsze i presja będzie mniejsza, ona się znów pojawi. Dlatego, że lewica spełnia, nie tylko w Czechosłowacji, ale w świecie zachodnim, rolę, która trochę zastępuje religię. Jest to więc nurt, który nie zniknie zupełnie, ale jest on ruchem bardzo słabym, bardzo słabym w tej chwili. W ciągu ostatnich lat, lewica poniosła ogromne straty. Największą poniosła oczywiście nie przez emigrację, nie przez wymieranie, ale przez zdyskredytowanie słowa s o c j a - l i z m i przez nasilenie ruchów neokonserwatywnych na Zachodzie. To niewątpliwie wywarło największy wpływ. Dlatego brak jej młodzieży. Trudno przecież walczyć o socjalizm w socjaliźmie. Właściwie zawsze bardzo się dziwiłem, że to jest wogóle możliwe, ale w każdym razie dzisiaj jest to trudniejsze niż w czasach minionych. Tym niemniej w momencie działania politycznego, dużego działania, lewica jest mocniejsza. Np. pismo "LIDOVE NOVINY", pomimo tego, że skupia ludzi o różnych poglądach, jest pismem o wyraźnym charakterze socjaldemokratycznym. To jest największe pismo, jakie powstało ostatnio - w zeszłym roku ukazało się parę numerów. Pismo rozpowszechniane na większą skalę - już nie maszynopis, już chodzi o pismo drukowane i to o pismo wyraźnie polityczne. Są w nim artykuły na tematy najróżniejsze, ale duch tego pisma niewątpliwie jest na lewo od środka. To jest typowe. Bo w momencie, kiedy opozycja aktywizuje

swoją działalność, wychodzi z getta maszynopisów, to wtedy znów okazuje się, że rzutkość, ruchliwość i wogóle dynamizm lewicy jest dużo większy niż prawicy.

Dla prawicy polityka nie jest religią, polityka nie jest wszystkim. Istnieje życie jeszcze poza polityką. Prawica dąży do odpolityzowania czy apolityzowania większości. Dąży do tego, by większość ludzi wogóle się nie musiała polityką zajmować. Żeby żyli w normalnym świecie, gdzie wszystko normalnie funkcjonuje i polityka jest dla tych, którzy ją traktują, w pewnym sensie, jako hobby. Przekonanie, że każdy człowiek zawsze musi brać udział w życiu politycznym narodu - to kanon lewicy. Na tym polega różnica między lewicą i prawicą i na tym prawica zawsze trochę przegrywa, pomimo tego, że jest dzisiaj koniunktura na myślenie neokonserwatywne, nawet antyliberalne. Jest naprawdę w Czechosłowacji duże odrodzenie myśli konserwatywnej. Mógłbym tu wymienić szereg nazwisk, ale nie są one znane w Polsce na tyle, żeby o tym mówić.

- Myślę jednak, że właśnie dlatego warto coś niecoś powiedzieć o sytuacji w opozycji czechosłowackiej, zwłaszcza o jej nurcie prawicowym. Jak on się przedstawia?

- Najważniejszym, moim zdaniem, wydarzeniem w Czechosłowacji było objawienie się w opozycji nurtu wyraźnie konserwatywnego. Chodzi mi tu o grupy rozwijające myśl konserwatywną. Nie jest to bowiem opozycja polityczna sensu stricto, nie nawołuje do demonstracji, wydaje natomiast pismo, które nazywa się "ŚRODKOWA EUROPA" /"STREDNI EUROPA"/ i w tym piśmie bardzo ciekawie rozwija konserwatywne wątki myśli czeskiej. Ukazuje się ono już trzy lata, nie jest więc efemerydą.

Trzeba wiedzieć, że tradycje konserwatywne w myśli czeskiej były raczej słabe. Przed wojną dominowały raczej wątki pól socjalistyczne. Tymczasem w piśmie tym mamy doczynienia z myśleniem prawicowym. Przejawia się ono w wyraźnym anty-socjaliźmie, w zdecydowanym poparciu dla gospodarki rynkowej. Kontynuuje ono te czeskie tradycje, które opowiadały się za obroną tradycyjnych wartości. Odrzuca koncepcje państwa opiekuńczego, tym niemniej obarcza je obowiązkiem obrony wartości podstawowych, takich jak religia, rodzina, więzi społeczne, autorytet moralny ośrodków. Ta czeska tradycja jest interesująca o tyle, o ile jest konserwatywna, o tyle, o ile jest krytyczna wobec dominujących w okresie międzywojennym, tendencji liberalnych /Masaryk/, antykatolickich.

I właśnie na łamach "ŚRODKOWEJ EUROPY" ukazuje się wiele artykułów, rewidujących liberalne i antykatolickie tendencje. Jest to zarazem próba odrodzenia jakiegoś, bardziej pozytywnego nastawienia do austrosławizmu, do idei konfederacji, która była żywotna w latach 40-tych i 50-tych ubiegłego wieku, a która się załamała w ausgleichu austriacko-węgierskim. Dodatkowo jest to jednak pismo katolickie. Taka katolicko-konserwatywna reakcja na postępowo-liberalne tradycje myśli czeskiej jest czymś szalenie ciekawym, czymś niespodziewanym.

Dla mnie, nurt ten jest jeszcze dlatego tak interesujący, iż istnieje tu wyraźna tendencja do jakiejś, oczywiście już nie austro-słowiańskiej, lecz środkowo-europejskiej konfederacji. Interesujący jest stosunek tej grupy do kwestii tak popularnej i nośnej w latach 70-tych jak prawa człowieka. Otóż pismo to, zgodnie z konserwatywnym myśleniem, przywiązuje wagę przede wszystkim do obowiązków, a dopiero później do praw. Jest tu np. nacisk na własność prywatną postrzeganą przede wszystkim jako źródło obowiązków wobec społeczności, a nie jako źródło materialnego bogacenia się.

Na łamach "ŚRODKOWEJ EUROPY" spotyka się wątki typowe dla myśli neokonserwatywnej na Zachodzie, mają one jednak także swoją czeską specyfikę. Pismo to - sędzę - jest ośrodkiem krystalizowania się tendencji praktycznie do tej pory w czeskiej myśli niewystępujących. Pod jego wpływem znajduje się wielu działaczy z najbardziej znanym Václavem Havlem. Interesujące może być także oddziaływanie tego pisma na myśl katolicką w kierunku pozbywania się złudzeń o trzeciej drodze /ostatnia Encyklika Papieża wyraźnie mówi, że nie ma trzeciej drogi/.

Te tendencje rozwijają się ostatnio i myślę, że i w Polsce znalazłoby się wielu zwolenników tego nurtu. Sędzę więc, że korzystne by tu były wzajemne kontakty.

- Czy widzisz jakąś szansę współpracy ugrupowań prawicowych i niepodległościowych w naszych krajach - w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech?

- Na pewno widzę, ale to jest zadanie najtrudniejsze. Dlatego, że - jak już powiedzieliśmy - ludzie o myśli konserwatywnej są na ogół mniej aktywni i bardziej myślący niż lewica, która zastępuje myślenie aktywizmem. Są to ludzie bardziej spokojni, bardziej ostrożni, bo nie wierzą w kompromisy, nie wierzą w dialog, nie wierzą władzom komunistycznym. Nie chcą więc tyle ryzykować, ile może lewica, dla której polityka to po prostu życie. Całe życie i nie ma nic poza tym.

Z drugiej strony, ten sojusz prawicy jest czymś naturalnym, dlatego, że nowoczesne myślenie neokonserwatywne, które jest reakcją na komunizm, reakcją na socjalizm, reakcją na socjalizację życia, przede wszystkim jest najmocniejsze tam, gdzie odradza się Kościół. Na Węgrzech i w Czechosłowacji jest duży ruch, duże odrodzenie religijne i ci ludzie, po przeżyciu konwersji bardzo często zaczynają słuchać radia zachodniego, którego nie słuchali poprzednio, zaczynają się interesować myślą konserwatywną i oni oczywiście czują do Polaków sympatię jako do narodu katolickiego. Tu jest właśnie wspólna więź, której nie było. Różnica między Czechami i Polakami była przede wszystkim różnicą religijną i odrodzenie katolickie, które teraz jest olbrzymie, ją niweluje. W tej chwili chodzi tutaj o 60 tys. konwertytów rocznie - dojrzałych ludzi, w kraju gdzie - mówimy o Czechach i Morawach - uczestnictwo we mszach spadło do 10-12% i gdzie już powoli konwertyci stanowią większość praktykujących katolików. No, jeszcze do tego nie doszło, ale już wkrótce będą stanowić większość. I to jest bardzo ważne zjawisko. Bo w tym kontekście stare czesko-polskie resentymy po prostu giną, po prostu ich nie ma. Ci właśnie ludzie są bowiem naturalnie zainteresowani Polską, polskim Papieżem, polskimi tradycjami katolickimi. Dla wielu - Polska to ostoja, pewność, Polacy - wielki naród katolicki, do którego oni się natychmiast - przez tę konwersję, tę zmianę światopoglądową - ustosunkowują pozytywnie. I tu widzę pewne tło wzajemnej współpracy. Ale aktywność, spekulacyjne spotkania - prawdopodobnie jeszcze na jakiś czas musimy pozostawić KOR-owi i Karcie 77.

- Jak oceniasz obecną sytuację w Europie Środkowej? Jakie widzisz możliwości jej dalszego rozwoju? W jakim kierunku to się wszystko potoczy?

- Wróciłem z Węgier i to było bardzo pożyteczne, nie tylko dlatego, że rozmawiałem z czeską opozycją, rozmawiałem też z węgierską. Jedna rzecz jest pewna. Coś się wreszcie ruszyło. W tym roku właśnie. Na Węgrzech, nawet w Rumunii, wszędzie widać, że coś się ruszyło. Oczywiście, trochę tego ruchu zawdzięczamy Gorbaczowowi, choć nie w tym sensie, że było to jego intencją. Jego polityka spowodowała pewien oddźwięk, który jest obecnie bardzo widoczny. Ja widziałem demonstrację w Budapeszcie - 12 tysięcy ludzi, którzy 23 października obchodzili rocznicę powstania węgierskiego - i to już wyraźnie jako powstania, które miało charakter antykomunistyczny i nie dążyło do jakiegoś modelu socjalistycznego. Odżywają w każdym razie nurty myślenia neokonserwatywnego, nurty religijne. Ja myślę, że to wszystko powoli działa w kierunku odrodzenia myśli politycznej, która nie będzie szukała żadnej trzeciej drogi. Myśli, która widzi na Zachodzie, pomimo wszystkich negatywnych cech państw liberalnych, drogę jedyną. Jeszcze nie ma haseł prokapitalistycznych ani w Czechosłowacji ani na Węgrzech, ale w reformach /albo w półreformach, w ówcioreformach/ węgierskich widać od razu, że chodzi zawsze o decentralizację przemysłu i o wprowadzenie jakiejś pierwocin kapitalizmu. To jest zupełnie jasne.

Natomiast sama myśl konserwatywna - jeszcze nie doszło w tych ruchach tak daleko, żeby rozróżniać między liberalizmem państw zachodnich i konserwatyzmem. To jeszcze - myślę - potrwa jakiś czas, zanim ta różnica nie zostanie dostrzeżona. Jest to o tyle istotne, że największym problemem zachodnich państw nie jest wolność, ale jest ideologia liberalistyczna, która podcina korzenie społeczne, głosząc, iż państwo jest neutralne w sferze moralnej. I to jest problem.

Ja myślę, że tych problemów na Węgrzech i w Czechosłowacji nie ma i dlatego

ich tego się nie widzi. Ale ruch jest pozytywny. I dąży w kierunku niepodległości, w kierunku odrodzenia myśli konserwatywnej, w kierunku restauracji kapitalizmu. Dodatkowo są to ruchy, które nie mają - że użyję tu terminu zrozumiałego dla Polaków - piętna neoendeckiego. Patrzą bowiem dzisiaj na Wspólny Rynek Zachodni. Ruchy te oczywiście są pod wpływem Zachodu, na pewno sobie wyobrażają albo jakieś przyłączenie do EWG, albo po prostu, stworzenie jakiejś ponadnarodowej alternatywy dla Europy Środkowej. Jest więc nadzieja, że niebezpieczeństwo starych nacjonalistów, przede wszystkim endeckich, już dzisiaj nie grozi. A ja myślę, że takie odrodzenie jest bardzo pozytywnym zjawiskiem.

- Czy widzisz jakąkolwiek szansę na to, by - jak my to nazywamy - "pełzający konflikt regionalny w Europie Środkowej" dotarł do świadomości Zachodu, do polityków zachodnich i do zachodniej opinii publicznej?

- To jest naprawdę duży problem, dlatego, że pewne odrodzenie, które możemy obserwować na Litwie, Łotwie czy Ukrainie, dociera do świadomości zachodniej. Dociera poprzez dziennikarzy. Ale ruchy irredentystyczne, z którymi mamy do czynienia na Zachodzie - mam tu na myśli Basków czy Irlandczyków - sprawiają duży kłopot przy ocenie tego odrodzenia. Ponieważ Europa dąży do ponadnarodowego zjednoczenia, to ruchy postrzegane są negatywnie i to rzuca na obraz podobnych ruchów na Wschodzie. Sądzę, że większość polityków zachodnich, w imię lepszego handlu i w imię spokoju, życzyłaby sobie liberalniejszego Związku Sowieckiego, którego stabilności nie zagrażałyby ruchy decentralistyczne. Myślę więc, że trudno liczyć na większe poparcie na Zachodzie. Zachód sobie nie życzy gwałtownych zmian, rozpadu Imperium. Myślę, że gdyby Imperium przestało stanowić zagrożenie i gdyby doszło do uzgodnień strategicznych, gwarantujących Zachodowi bezpieczeństwo, i gdyby jeszcze tam się rozwijał rynek i możnaby było pohańdlować - to Zachód byłby całkowicie usatysfakcjonowany takim rozwojem sytuacji.

Oczywiście, są ludzie, którzy rozpad Imperium uważają za pożądany i popierają Polskę - w sferach politycznych Zachodu są jednak nieliczni.

- Czy Czechosłowacja - Twoim zdaniem - przetrwa, jako wspólne państwo Czechów i Słowaków, wyzwolenie Środkowej Europy?

- Nie jestem futurologiem ani wieszczem - nie bardzo więc lubię takie pytania. Nie jestem w stanie przewidzieć sytuacji, ale wydaje mi się, że napięcia między Czechami a Słowakami są duże. Przede wszystkim dlatego, że wspólne istnienie tych dwóch państw, czy lepiej narodów, nie układało się dobrze ani w latach międzywojennych ani po wojnie, pod komunizmem. Najpierw była długa przewaga czeska, później, po inwazji sowieckiej, kiedy do władzy doszedł Słowak - Husak, dominacja słowacka, dla Czechów trudna do zniesienia.

Myślę, że główną winę ponosi tu I Republika Czechosłowacka, której nie stać było na stworzenie państwa federalnego. Byłaby wtedy pewna pozytywna tradycja, do której można byłoby się w przyszłości odwołać. Ponieważ stosunki czesko-słowackie były w okresie międzywojennym nieudane i ponieważ zostały jeszcze bardziej obciążone przez rządy komunistyczne, to ja jednak myślę, że Słowacy nie zrezygnują z własnej odrębności, a to trudno będzie pogodzić z formułą państwa czeskosłowackiego. To jest rzeczywisty problem.

Z drugiej strony - mówiliśmy już o tym, że Europa Środkowa dąży do jakiejś większej wspólnoty, nie tylko gospodarczej, także politycznej, że łączy ją wspólne doświadczenie z komunistycznym Imperium Sowieckim i że ma pozytywny przykład integracji zachodnio-europejskiej. I myślę, że te tendencje będzie bardzo trudno pogodzić z dążeniami separatystycznymi, z dążeniami Słowaków, Chorwatów czy Ukraińców. Wszyscy oni nie mieli jeszcze swego państwa i potrzebują go, choćby po to, żeby poczuć się pewniej.

Mamy tu dwa sprzeczne prądy. Mamy dążenie do wspólnoty i mamy pragnienia narodów, które nie miały własnej państwowości do samodzielności. Który z tych prądów przeważy - trudno ocenić. Dopiero historia pokaże, jak się sprawy potoczą.

- Jak oceniasz dziesięciolecie pontyfikatu Papieża Polaka, z perspektywy, mimo zamieszkiwania od lat na emigracji, człowieka z Europy Środkowej?

- To jest złożone pytanie. Kościół Katolicki na Zachodzie i w Świecie znajduje się w bardzo głębokim kryzysie. W dużo większym niż na Litwie, Ukrainie, w Czechosłowacji czy w Polsce. Jest to kryzys, spowodowany dużą sekularyzacją zachodnich społeczeństw oraz liberalizmem państw zachodnich. Stają się one państwami neutralnymi w stosunku do społeczeństwa, które traktują jako sumę jednostek, a nie jako odrębną jakość. Państwo na Zachodzie wycofało się z obrony podstawowych wartości - życia, rodziny, odpowiedzialności... co stawia Kościół w bardzo trudnej sytuacji. Jest taki straszny frazes w języku angielskim - *consenting equals* - co znaczy, że dojrzały ludzie mogą sobie we wzajemnych stosunkach pozwolić na wszystko, bo ich wzajemne relacje nie mają odniesienia społecznego.

I w takiej właśnie sytuacji znalazł się Papież Polak, który próbuje przede wszystkim w takich właśnie, skrajnie trudnych, warunkach odrodzić wiarę katolicką. I to jest, przynajmniej tak mi się wydaje, główne zadanie jego pontyfikatu. Zadanie o wiele ważniejsze niż - mimo życzeń Polaków - papieska ostopolitika wobec komunizmu. Jego główne zadanie jest tutaj w Europie Zachodniej. Kolejnym celem Papieża jest uratowanie katolicyzmu w Ameryce Południowej i odrodzenie w Afryce. Dopiero na trzecim miejscu jest Jego polityka wschodnia. Cały ten pontyfikat trzeba widzieć w tej perspektywie.

Jeśli chodzi o trzeci wątek, niewątpliwie bardzo ważny dla nas, to tutaj Papież zrobił wiele. Tym niemniej, wydaje mi się, że jeśli chodzi o Czechosłowację czy Węgry - to jednak za mało. To znaczy za mało w stosunku do naszych aspiracji. Pokazał jednak ludziom, że mamy sami walczyć o wolność religijną, że dyplomacja watykańska może utrwalić zdobycze już wywalczone. Powiedział to wyraźnie w 1979 roku w Gnieźnie i powtórzył w Polsce w roku 1983. Jest On oczywiście wielką nadzieją Środkowych Europejczyków, jako Papież Słowianin, który rozumie, co to jest komunizm. Tym niemniej czuje się, że po dziesięciu latach chciałoby się więcej spektakularnych sukcesów. Trzeba jednak pamiętać, że ma odwiedzić Węgry, że dyplomacja watykańska odniosła pewne sukcesy w Rosji, w związku z nową polityką Gorbaczowa wobec religii. To skomplikowana sprawa, ale jest wiele tych ustępstw i katolicyzm na Wschodzie przeżywa ogromny renesans. To niewątpliwie zasługi Papieża.

On stał się dla świata tym, kogo Anglicy określają słowem *m e g a s t a r* - i to działa. Ja, na przykład, wiem, jak wielkie jest w Czechosłowacji zapotrzebowanie na kasety video, ostatnio z podróży do Korei. Akurat Czesi nie interesują się Koreą, ale interesują się Papieżem. To jest naprawdę wielka sprawa.

Uczciwa ocena tego pontyfikatu wymagałaby jednak znacznie głębszej, subtelniejszej i obszerniejszej analizy.

- Jeszcze jedno pytanie z gatunku, którego nie lubisz: Czy sądzisz, że za życia naszego pokolenia, nasze kraje mają szansę wybicia się na niepodległość? Czy widzisz możliwość zinstytucjonalizowania współpracy niepodległych państw naszego regionu w postaci Środkowo-europejskiej wspólnoty?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Mnie się wydaje, że te tak bardzo widoczne niepokoje społeczne, o których już mówiliśmy, to jest bardzo wiele. Ludzie już coraz mniej ludzą się socjalizmem, reformą Imperium, co było typowe dla lat sześćdziesiątych, nawet jeszcze siedemdziesiątych. Ruchy odśrodkowe nabierają siły, zwłaszcza obecnie, pod towarzyszem Gorbaczowej. Ja jednak nie widzę ruchu, który miałby i intencję i siłę, by zagrozić trwałości Imperium. To Imperium mogłoby dalej trwać, nawet gdyby doszło do powstania na Ukrainie czy w Armenii. To są stosunkowo małe lub słabe narody peryferyjne...

Z drugiej strony widzimy również, że Europa Zachodnia w żaden skuteczny sposób nie zamierza zagrozić trwałości Imperium. Polityka Gorbaczowa i jego ekipy - w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech, a nawet w Rumunii - jest polityką status quo. Wcale nie wymusza, czy to na Jakešu, czy to na Jaruzelskim, prawdziwych reform, które prowadziłyby do demontażu Imperium. Niczego takiego nie widzę.

Widzę jednak wzrost napięcia, ożywienie, na przykład, tendencji nacjonalistycznych, zwłaszcza w Związku Sowieckim, co w przyszłości niewątpliwie doprowadzi

Imperium do upadku. Ale musimy jeszcze trochę poczekać na to, by ruchy nacjonalistyczne stały się znaczące, zwłaszcza nacjonalizm rosyjski. Mnie się wydaje, że silny ruch nacjonalistyczny, który byłby zarazem antykomunistyczny, dawałby pewne szanse. Ale myślę, że do tego jeszcze daleko.

Dlatego nie sądzę, że z emigracji wrócę do kraju. Na to nie liczę. W tym sensie muszę powiedzieć, że Czesi ciągle jeszcze, sam jestem Czechem, są realistami i nie lubią się ludzić wizją, która jest nierealna.

- W wywiadzie, którego udzieliłeś trzy lata temu "KONTAKTOWI" powiedziałeś, że "Czesi nie widzą wyjścia", że nie mają nadziei, złudzeń. Czy to samo powtórzyłbyś dzisiaj - po trzech latach?

- Ja myślę, że po tych trzech latach, w sytuacji politycznej wiele się nie zmieniło. Mój rozmówca sprzed trzech lat zainteresowany był kwestią, czy Czesi myślą o niepodległości, czy do niej dążą. W sensie aktywnym na pewno dzisiaj jeszcze nie. Jakies ruchy wyzwolenicze - na pewno nie. Tego nie ma nawet w Polsce, cóż dopiero mówić o małym kraju dwóch skłóconych narodów, jakim jest Czechosłowacja. Tego wyjścia na pewno więc nie widzą.

Doszło jednak, w ciągu ostatnich trzech lat, do podstawowej zmiany w Czechosłowacji. Ilość tzw. pism drugiego obiegu - jak mówią Polacy - ilość niezależnych inicjatyw, przede wszystkim kulturalnych, niesamowicie się zwiększyła. Tak niesamowicie, że sytuacja zaczyna powoli przypominać polską - drugi obieg to już normalność. Doszło także do upolitycznienia, przynajmniej niektórych, grup opozycji, do wezwań do demonstracji, do manifestów domagających się demokracji. Analogicznie jak w Polsce. Nie stawia się jedynie ostro kwestii niepodległości. Czesi po prostu pragną wywalczyć sobie większy margines wolności, podobnie jak to udało się Polakom, podobnie jak próbują to zrobić Litwini, Łotysze czy Ukraińcy. Narazie chodzi o jeden, dwa czy trzy kroki w kierunku większej niezależności - jednak w ramach ustroju. Oczywiście nieidealnego...

Jest to polityka małych kroków. Tym niemniej, upolitycznienie czeskiej opozycji jest największe w obozie po Polakach, większe niż na Węgrzech. I to jest właśnie ta wielka zmiana. Jeśli jednak chodzi o grupy polityczne, o polityczną świadomość, to z tym jest jeszcze słabo. Zresztą Czesi bardzo nie lubią myśleć w próżni. Jest to naród bardzo praktyczny, mieszczański. Trudno tu, na przykład, sobie wyobrazić partie polityczne w podziemiu.

W każdym razie, Czesi nawet jeśli nie widzą jeszcze wyjścia, to znacznie się jednak ożywili. A to jest naprawdę wielka i ważna zmiana.

jesień 1988 r.

rozmowę przeprowadzoną po polsku opracował:
Artur WIECZYSTY

* Tadeuszowi KADENACEMU dziękujemy za pomoc i współudział w ich przeprowadzeniu.

ALEKS TOMSKI: Czech urodzony w Czechosłowacji w 1947 roku. Matka jego jest Polką. W roku 1968 wyemigrował do Wielkiej Brytanii. W latach 1978-1986 pracował w Keston College. Od roku 1982 jest redaktorem i wydawcą emigracyjnego czeskiego pisma "ROZMLUVY" oraz kierownikiem wydawnictwa o tej samej nazwie. Jest także szefem filii brytyjskiej katolickiej organizacji charytatywnej "Kirche in not". Pomaga polskim ugrupowaniom niepodległościowym - "NIEPODLEGŁOŚCI". Zna dobrze język polski. W czerwcu 1985r., 6/38 nr "KONTAKTU" opublikował przeprowadzony przez Józefa Darskiego wywiad z nim - patrz "N", numery 50, 51 i 52 ze stycznia-marca 1986r. Odpowiadając w nim na pytanie Darskiego, dlaczego w Czechosłowacji nie ma ruchu niepodległościowego, powiedział: "Dlatego, że Czesi nie widzą wyjścia. Walka o niepodległość takich małych państw jak Polska czy Afganistan, które już przegrały, wydaje się im zupełnie absurdalna. Poza tym Czechosłowacja jest państwem podzielonym na dwa narody i nie ma współpracy czesko-słowackiej, tzn. refleksje nad działaniem politycznym wydają się w tym otoczeniu po prostu absurdalne".

przedruk: "THE SALLISBURY REVIEW", v.7, nr 2 XII.1988, str. 45-48

Alex Tomski w wydrukowanym powyżej wywiadzie, mówi o konserwatywnym nurcie opozycji czeskiej, o grupach rozwijających myśl konserwatywną. Niżej przedrukujemy artykuł szczegółowo prezentujący jednego z takich myślicieli Václava Havla. Trzeba jeszcze dodać, że obecnie Havel przebywa w więzieniu, skazany za udział w demonstracjach w dwudziestą rocznicę samospalenia się Jana Palacha, protestującego przeciw inwazji Czechosłowacji. W obronie pisarza organizowane są akcje protestacyjne. Niniejszym wyrażamy z nimi naszą solidarność. - "NIEPODLEGŁOŚĆ".

- Był to pierwszy prawdziwie naczynny facet, jakiego spotkałem - tak napisał Ludvík Vaculík o swoim przyjacielu, czeskim dramaturgu i autorze szkiców politycznych, Václavie Havlu, który urodził się w roku 1936 w bogatej praskiej rodzinie. Jednak za zamożność ojca przyszło zapłacić synowi. Od chwili ukończenia przezeń 15 roku życia, wszystkie zamiary życiowe Havla kończyły się fiaskiem, a działo się to w kraju, gdzie tak wiele zależy od pochodzenia klasowego - gdy Havel miał dwadzieścia kilka lat, jego nadzieje na dostanie się na uniwersytet i do praskiej szkoły teatralnej, były stale niweczone; po ukończeniu trzydziestki znalazł się on na oficjalnej czarnej liście zakazanych pisarzy, po czym zdobył światową sławę jako dramaturg, a zarazem pracownik browaru. Gdy skończył 40 lat, stał się bardziej znany jako czołowy rzecznik Karty 77, którego władze wtrącają co pewien czas do więzienia za przekonania polityczne. Obecnie, gdy Havel ma już ponad 50 lat, zdobył on uznanie jako autor esejów politycznych. Ostatnio stał się również kimś w rodzaju bohatera dla młodych Czechów, którzy - czego dowodem była dziesięciotysięczna manifestacja na staromiejskim placu w Pradze - uformowali własną świadomość polityczną: było to w znacznej mierze wynikiem poparcia oraz przywództwa sygnatariuszy Karty. Nie należy się więc dziwić, iż posiadając tak bogatą biografię, Havel niechętnie reaguje na próby przypisania mu kolejnej "specjalności". Atoli w jego sztukach, przede wszystkim jednak w esejach teoretycznych, którym poświęcimy tutaj uwagę, dostrzega się silny nurt konserwatywny. 1/

Jak zauważył sam Havel, dla przybyszów z Zachodu, w tym dla tamtejszych dziennikarzy, jest on tradycjonalistą - ludzie ci, twierdzi pisarz, uważają jego poglądy za "ciasne, moralizatorskie i staromodne" /Times Literary Supplement, 23.01.1987/. W recenzji "Listów do Olgi", zbioru 145 listów, wysłanych przez uwięzionego Havla do żony, Heinrich Böll wspominał o konserwatywnym zabarwieniu przekonań dramaturga:

"Nieustannie dostrzega się, iż wartości i autorytety uznawane przezeń i rozważane, są tymi samymi wartościami i autorytetami, które coraz bardziej kompromitują się w wolnym oraz "wolnym" świecie: świadomość, sumienie, ład moralny i odpowiedzialność. U Havla towarzyszą im dziwaczne pojęcia, na przykład "wspomnienie istnienia", "porządek duchowy" oraz "absolutne horyzonty" /"Courtesy towards God", "Uprzejmość wobec Boga", s. 206/. Böll zadaje więc następujące pytanie: "Czy to wszystko czyni skruszonego grzesznika szukającego autorytetu, « poszukiwaczem Boga » ?". Odpowiedź brzmi: "tak". Myśli Havla przepojone są duchem oddania Bogu oraz poczuciem "granic człowieczeństwa". W całym jego dorobku literackim, nieustannie przewija się wątek nietrwałości dobroci człowieka, ograniczeń, jakim podlega nasz umysł, zawiłości spraw ludzkich, oraz uzależnienia od podtrzymującego nas na duchu, transcendentnego porządku moralnego. Pokora i odpowiedzialność, wartości, których Havel jest wielkim orędownikiem, są nierodnym pocieszeniem, które on sam podsuwa lekceważącemu i nierozważnemu światu.

Havel daje ogólny obraz drogi, którą, jego zdaniem, powinniśmy dążyć, w swoim esej "Politics and Conscience" /"Polityka i sumienie"/ /ukazał się on po raz pierwszy w języku angielskim na łamach "The Salisbury Review", vol. 3 nr 2, 1985r./. Świat, który pisarz dostrzega dokoła, nieustannie popycha "irracjonalny pęd anonimowej, bezosobowej i nieludzkiej siły" - siły ideologii, systemów, "aparatu", biurokracji, sztucznych języków i sloganów politycznych. By przeciwstawić się tym "potężnym bronom nicości" /jak doskonale ujął to polski poeta Zbigniew Herbert/, musimy ponownie pojąć "z pokorą mędrca, iż istnieją granice tego naturalnego świata... przyznając jednocześnie, iż jest coś takiego w porządku rzeczy, co zdecydowanie leży poza granicami naszego zrozumienia". Nadto, musimy uwolnić z prywatnego zesłania osobiste wartości przyjaźni, solidarności, współczucia oraz tolerancji, by uznać je raz jeszcze za "jedyny prawdziwy porządek społeczności ludzkiej, obdarzonej pozytywnym znaczeniem" /"Politics and Conscience", s. 154/. Innymi słowy, kryzys jest natury duchowej i moralnej, przeto należy o nim mówić językiem duchowym i moralnym, nie wolno stosować terminologii systemów i techniki. Russel Kirk napisał w książce "The Conservative Mind" /"Umysł konserwatywny"/, iż: "Wielki konserwatywny bory się przede wszystkim z odrodzeniem ducha i charakteru - z wiecznym problemem wewnętrznym, z odrodzeniem rozumienia samego siebie oraz sankcji politycznej".

teższej u podstaw każdego życia, wartego tego, by je przeżyć". Jest to konserwatywna "chemicznie czysty" i dokładnie odpowiada przekonaniom Havela.

Zbiór jego esejów politycznych można najlepiej określić jako analizę cnót obywatelskich, dwudziesto-wieczny odpowiednik mów Cicerona. Autor utrzymuje, iż klucz do godnego postępowania politycznego można znaleźć w sferze prywatności; dobrze prowadzona polityka jest zawsze i przede wszystkim sprawdzianem moralności osobistej, opiera się ona na osobistej odpowiedzialności i doświadczeniu. Zdaniem Havela, ostateczne źródło naszych utrapień znajduje się w sercach ludzkich, nie zaś w systemach politycznych, a zatem, żeby zmienić społeczeństwo na lepsze, nie wystarczy po prostu przyjąć jakiś inny alternatywny system polityczny. Jedyną reformą, o jakiej wspomina Havel, jest reforma naszych własnych charakterów, to, czego nam potrzeba, jest "moralnym przeobrażeniem społeczeństwa" /"The Power of the Powerless" - "Siła bezsilnych", s. 117/, zmiana, która musi dokonać się w sercu i systemie moralnym każdego z nas; "... chodzi o rehabilitację takich wartości, jak zaufanie, otwartość, odpowiedzialność..." /ibid. s. 118/. Szczęście ogólne ma źródło w sferze osobistej, zaś dobra polityka w moralności praktycznej.

"Prawdziwa, głęboka i trwała zmiana na lepsze nie może być już efektem zwycięstwa... jakiegokolwiek tradycyjnej koncepcji politycznej, która w ostatecznym rozrachunku może być jedynie czynnikiem zewnętrznym, to znaczy koncepcją strukturalną, albo też systemową. Częściej niż niedogdyś, zmiana ta będzie musiała następować dzięki fundamentalnemu przeobrażeniu, jakie obejmie wszystkich ludzi, ich stosunek - do siebie wzajemnie oraz jednostek do ogółu - a także do wszechświata" /ibid. s.70/.

Havel podaje przykład umysłu ludzkiego oddzielonego od naturalnego świata ludzi i ich osobistego doświadczenia: chodzi o traumę "kolektywizacji". W imię aroganckiej i zdradzieckiej abstrakcji, podstawowy element rolnictwa europejskiego, gospodarstwo rodzinne uległo likwidacji w interesie "powszechnego dobrobytu" oraz "sprawiedliwości społecznej". Tę podstawę życia wiejskiego, zakorzenioną, według słów Havela, "w samej istocie terenu, doskonale przydatną, tworzącą harmonię z człowiekiem, wypróbowaną pracą ręk pokoleń rolników i sprawdzoną dzięki plonom, które z niej zebrali..." /"Politics and Conscience", s. 139/ najechały w latach 50-tych hordy biurokratów "...służących « światopoglądowi naukowemu »". Nie cofając się przed niczym, bez śladu jakiegokolwiek pokory, ludzie ci zniszczyli na zawsze i bezpowrotnie "te obrzeża naturalnego świata, darzone głębokim szacunkiem wraz z jego tradycjami osobistej wzięczności ludzkiej - za wszystkie dary". /ibid. s. 141/.

W najnowszej sztuce Havela "Asanance" /polski tytuł: "rewaloryzacja" - przyp.tłum./ grupa architektów dyskutuje nad pozbyciem się Starego Miasta, średniowiecznego zamku górującego nad dzielnicą ruđer. Prerażający eksperyment, jakiego Nicolae Ceausescu dokonuje na Bukareszcie, ma wiele precedensów, zaś przedmiotem sztuki Havela jest lekko tylko zawołany sprzeciw autora wobec zniszczenia dużej części starej Bratysławy, stolicy Słowacji, co nastąpiło w latach 70-tych, oraz zastąpienia wyburzonych domów skupiskami wysokościowców. Gdy eksperci i ich szefowie cieszą się z planowanego postępu, spychając oczyszczając świat ze wszystkiego, co powoduje, iż jesteście wobec niego lojalni. We wcześniejszej sztuce Havela "Memorandum" mówi się o powołaniu języka naukowego; jego celem ma być oczyszczenie języka naturalnego z jego zwyczajowych subtelności i dwuznaczników. Przyroda, architektura i język są niszczone przez sanitarny umysł, umysł tak znakomicie wyśmiany przez Jonathana Swifta w "Podróżach Guliwera": "W akademiach w Lagado profesorowie... powynajdywali nowe sposoby rolnictwa i budowali... w krótkim czasie wsie opustoszały, po większej części domy się wały i lud wszystek umiera z zimna, pragnienia i głodu".2/ Stulecia dziejów religii i historii, opoka ludzkich nadziei i obaw, są niczym wobec sycącej fantazji, której na imię "postęp". Żywe tradycje historyczne odziera się ze współczesnego znaczenia, rumuński "Conducator" Ceausescu podkreśla, iż kościoły Bukaresztu, które jeszcze nie uległy "systematyzacji", czyli nie zostały wyburzone, należy nazywać "zabytkami architektury". Oficjalne przewodniki po Czechosłowacji wynoszą pod niebiosa piękno kościołów tego kraju, podczas gdy jego władze czynią wszystko, żeby zniechęcić ludzi do ich odwiedzania.

ów rachunek, odbywający się przy okazji dążenia do abstrakcji, jest bezbożnością, tkwiącą w Korzeniach systemu: system ów przynajmniej na krótszą metę, jest nie do obalenia dla tych, których życie zdominował, nadto nie potrafi on ostrzec odpowiedzialności, jaką ponosi zarówno wobec przeszłości jak i przyszłości. Współczesne państwo, zdaniem Havela, "wyodrębniło bieżące życie ludzkie jako przedmiot żywego doświadczenia świata" /"Politics and Conscience", s. 143/, zaś na opróżnione miejsce wstawiło "nadętą, anonimowo-biurokratyczną siłę..." Państwo utraciło swoją osobowość w sensie zarówno prawnym jak i moralnym. Podstawą osobowości prawnej państwa jest prawo zbiorowej sprawczości, która przekazuje państwu prawa i nakłada na nie obowiązki; jak napisał Roger Scruton: "Zbiorowości mogą działać dobrze lub źle. Nie posiadając prawa, na mocy którego można zmusić je do ponoszenia odpowiedzialności... nie mamy żadnej ochrony przed ich siłą" 3/. Bezosobowość prawna jednopartyjnego państwa, w którym "przywódca" rola Partii jest synonimem niemal całkowitego braku odpowiedzialności

tegoż państwa, co oznacza, iż pozbawione jest ono zbiorowej tożsamości prawnej; nigdy nie można, posługując się prawem, zmusić go do odpowiedzialności za swoje pociągnięcia, zaś w tej sytuacji moc prawa staje się niczym. Potworność bezosobowego rządu trudno pojąć tym, którzy zawsze żyli pod rządami prawa. Państwo, które nie uznaje sprawczości oraz odpowiedzialności za własne czyny, powoduje, iż jego obywatele są wobec niego bezbronni. - W mieście bezprawia - napisał Cycero w "De Officiis" - nie pozostało nic, tylko pozbawione życia ściany domostw. Ale nawet i one obawiają się, że grozi następny straszliwy atak.

Według Havla, siłą napędową życia społecznego, nadającą mu uczucie oraz uzasadnienie prawne, jest bogata siatka lojalności i powiązań. Wielorakie instytucjonalne życie społeczne - związki zawodowe, Kościół, towarzystwa poetyckie, rodzina, pisma naukowe oraz Instytut Kobiet - jest "... jednocześnie warunkiem i rezultatem, jednocześnie dumą i przyczyną istnienia wolnego społeczeństwa...", jak napisał to Lord Hailsham w książce "The Case for Conservatism" /"Argument na rzecz konserwatyzmu"/. Racjonalna, pragmatyczna technika działania siły tota litarnej odrabia uznania praw tych autonomicznych stowarzyszeń, niszcząc zaś ich niezależność i żądając od nich nienaturalnej celowości; jednocześnie niszczy ona podstawy dobrze prosperującego społeczeństwa. Wszystkie lojalności, które powstawały stopniowo, i które otacza się szacunkiem, są rozbijane przez zawistne i zaborcze interesy Państwa; obowiązki synowskie, małżeńskie i religijne podporządkowuje się przemocą jednemu nadrzędemu imperatywowi - żeby cele Partii zostały osiągnięte. To, co od dawien dawna było przedmiotem szacunku - zobowiązania wobec każdego z rodziców, współmałżonka, ziemi, bądź też instytucji, która nas wspierała, i która na pewno nas przeżyje - zastępowane zostaje jakąś nic nie znaczącą abstrakcją, której, chcąc nie chcąc, musimy oddawać, czego żąda. Państwo totalitarne, prawem kaduka, wdziera się w każdy z takich ugruntowanych związków; tak więc dając szacunek ojca, jednocześnie czyni Ludowy Socjalizm, Kochając zaś współmałżonka, Kochamy Socjalistyczną Ojczyznę. Każda instytucja musi poddać się wchłonięciu w państwo i dać narzucić sobie całkowicie obce zamiary, w obliczu których wystarczające jej cele, jakie instytucje te w tak naturalny sposób wypracowały sobie w toku działalności, i które stanowią powód dla ich istnienia, muszą zginąć śmiercią naturalną. Ujmując rzecz w skrócie, stowarzyszenia stają się ruchami.

Fundamentalną zasadą konserwatywnego stosunku do życia jest głęboka świadomość, jak opornie poddaje się ono systematyzacji. Od "wspaniałego jutra" - produktu racjonalnego intelektu - Havel woli takie życie, jakim ono jest na codzień, wraz z jego nieuporządkowanym zagmatwaniem:

"... co się dzieje, gdy intelektualiści tracą respekt dla bogactwa życia i jego wielorakości, dla jego immanencji, dla jego własnych, szczególnych praw, gdy zaczynają oni darzyć arogancką wiarą własny rozum i własne pomysły, które uważają za godniejsze, ważniejsze i lepsze od życia jako takiego...? W wypadku Pol Pot'a rezultatem było wymordowanie jednej trzeciej narodu". /TLS/.

Havel pokazuje, jak racjonalista sprowadza historię do nudy; historia zostaje "wyrównana", to zaś, co w niej rozmaite i unikatowe, zostaje zastąpione przez pseudohistorię, "kalendarium powtarzających się rytmicznie rocznic, kongresy, obchody oraz masowe imprezy gimnastyczne". W polskim mieście Wrocławiu działała grupa młodzieżowa, która nazwała się "Pomarańczową Alternatywą", w ubiegłym roku, w dniu urodzin generała Jaruzelskiego, pięćdziesiąt lub więcej jej członków wyszło na ulicę w godzinach największego szczytu - wszyscy założyli okulary przeciwsłoneczne. Do młodych dołączyli obywatele miasta, tworząc spontaniczne zgromadzenie, nie mające szczególnego celu - wyjąwszy uciechę, którą owo zgromadzenie spowodowało przechodniom. Przyjemność czerpana z takiego wydarzenia lub podobnych imprez, polega przede wszystkim na radości z ich niepowtarzalności i nieprzewidywalności. Havel wyjaśnia to w następujący sposób: "Jest to chwila, gdy jeszcze raz, na naszych oczach, coś zaczyna się dziać..., coś, czego nie przewidziano w żadnym oficjalnym kalendarium zdarzeń, coś, co powoduje, iż przestajemy być obojętni wobec tych zdarzeń..." /"List otwarty do Gustava Husáka", s. 28/.

W krótkim szkicu, zatytułowanym "Dreszczowiec", Havel zastanawia się, jak racjonalista usiłuje pozbawić świat nie tylko poczucia historycznego czasu, ale także zdumienia i strachu. W niszczącym świetle umysłu współczesnego człowieka nic nie pozostaje dlań mroczne: człowiek ów wylewa potoki pogardy na mity, poddając się przy tym niebezpiecznemu złudzeniu, iż "nigdy nie istniały żadne wyższe i cięższe siły - z którymi mity te w pewnej mierze były związane, których obecności były świadectwem i których stosunkowo pełne oparowanie zapewniały..." /"Dreszczowiec", s. 156/. Stare mity "trzymały, by tak rzec, w szachu te siły podświadomości ludzkiej, bądź też miały nad nimi moc nadzorującą", zaś odrzucając to, co mityczne oraz to, co wzbudza naszą obawę, odrzuciliśmy również porządek, władzę i ograniczenia, degradując to, co zbyt mocno pragniemy gloryfikować - czyli nas samych. Znaczenie religijne oraz mitologiczne zastąpiliśmy naszymi własnymi bezrozumnymi zaboborami - chodzi o mit postępu ludzkości, który nie ma granic oraz o mit doskonałości.

Jeśli Havel ma program polityczny, zasadza się on na ponownym wprowadzeniu do sfery publicznej doświadczenia osobistego oraz odpowiedzialności, jak też na uznaniu istnienia absolutnego transcendentnego porządku. W ostatnim udzielonym wywiadzie określił się on jako zwolennik pierwszego prezydenta Czechosłowacji, T.G.Masaryka:

"Choć... nie podzielam jego pozytywistycznej wiary w postęp, głęboko wierzę w to, co wyczuwa się za jego nieustannym odwoływaniem się do transcendencji, oraz w jego nacisk na to, iż demokracja jako system polityczny... musi mieć jakąś transcendentną podstawę lub horyzont". /TLS/

Havel nazywa to "polityką antypolityczną", albowiem pociąga ona za sobą, jak mogliśmy się przekonać, rewolucję raczej w sferze świadomości, aniżeli w sferze instytucji: "Prawda i moralność mogą stworzyć nowy punkt wyjścia dla polityki i same w sobie mogą posiadać niezaprzeczną siłę polityczną". /"Politics and Conscience", s. 156/. "Siła Karty 77", dokument podpisany przez grupę politycznie bezsilnych osób, wzywających władzę do przestrzegania praw, które sama ustanowiła, był aktem natury moralnej; zdobył on sobie rozgłos jako gest odwagi cywilnej i odpowiedzialności w społeczeństwie, bardziej przywykłym do publicznych aktów strachu, znęcenia i przesady. Ujmując rzecz słowami intelektualnego mistrza Havla, filozofa Jana Patočki:

"Stwierdzić należy, iż ludzie są ponownie świadomi tego, że istnieją rzeczy, za które warto cierpieć. Że rzeczy, za które niekiedy musi się cierpieć, często są właśnie tym, co czyni życie wartym tego, by je przeżyć... Wszystko to wiemy dziś, a wiedzę tę w znacznym stopniu zawdzięczamy właśnie Karcie 77" 4/.

Karta 77 "nie jest aktem politycznym w wąskim znaczeniu tego słowa... nikomu z jej sygnatariuszy nie chodzi o rywalizację, czy też o mieszanie się do spraw będących domeną siły politycznej. Karta 77 nie jest również stowarzyszeniem, czy też związkiem, tylko opiera się na moralności osobistej... Jej jedynym celem jest wyostrenie i wzmocnienie świadomości, iż istnieje wyższa władza, której jesteśmy podporządkowani" 5/. Te postulaty nie mogą być bardziej konserwatywne. Nie apelując bynajmniej do jakichkolwiek abstrakcyjnych pryncypiów moralnych, wydaje ona wyzwanie państwu, powołując się na pisane prawo, będące wytworem tegoż państwa. Karta 77 kładzie taki sam nacisk na nasz obowiązek szanowania praw państwowych, jak na prawa, których przestrzegania możemy żądać od państwa. Jednak, pod rządami systemu, gdzie władze, jak nikt inny, nie dbają o przestrzeganie tego obowiązku, owo głęboko konserwatywne w swoim wydźwięku odwołanie się do konkretnych praw, ma znacznie poważniejsze następstwa i stanowi dużo większy problem dla komunistów, aniżeli mogłoby mieć, czy też mogłoby stanowić liberalne odwołanie się do jakichś zasad abstrakcyjnych. Jak napisał o Karcie 77 Milan Kundera /w hołdzie Havlowi/ - "Oni nie dążą do tego, by udowodnić, iż ideologia władzy jest zła, ale ich szczerzy szacunek dla prawa, któremu nieustannie dają wyraz, ujawnia, jakim gigantycznym oszukaństwem jest ta ideologia" /"Należy zniszczyć Kandyda", s. 261/. Z żądania, by reżym odtudował moralną i prawną osobowość państwa i ponownie zaczął przestrzegać swoich własnych praw, wynika, iż za porządkiem moralnym, oraz ponad nim, stoi ów niezawisły porządek prawny, przed którym musi ugiąć się reżim. Havel odegrał ważną rolę w tym wezwaniu do ustanowienia ładu prawnego przez poparcie, jakiego udziela VONS-owi /czyli Komitetowi Obrony Prześladowanych za Przekonania/; organizacja ta zmierza do ustanowienia najbardziej podstawowego warunku dla zaistnienia rządów prawa, chodzi o utworzenie prawa znanego tym, którzy mają mu podlegać - m.in. poprzez gromadzenie szczegółowego zbioru rozpatrywanych spraw wraz z sędziowskimi uzasadnieniami wydanych wyroków. Państwo czeskie, jak się wydaje, nie lubi, gdy jego obywatele znają zbyt dobrze swoje prawa - Havel przesiedział więc kilka lat w więzieniu za pracę w VONS-ie.

W szkicu, zatytułowanym "Anatomia Oporu", Havel wyjaśnia, dlaczego nie przejawia zbytniego entuzjazmu wobec zachodnich ruchów pokojowych. Odbudowa odpowiedzialności osobistej oraz moralności praktycznej oznacza uwolnienie się raz na zawsze od iluzji, iż "ciężar odpowiedzialności osobistej i bezczasowego zmartwienia" może ulec cudownemu roztopieniu "w jasności stylistycznej pamfletu" /"Anatomia Oporu", s. 174/. Zwarcie unysłowe, na które, by tak rzec, cierpią zachodnie ruchy pokojowe, jest wynikiem takiego właśnie niebezpiecznego zawieszenia odpowiedzialności oraz przejawiania nieskromnego zaufania, iż człowiek potrafi stworzyć świat doskonały. Jonathan Swift wysunął niegdyś tezę, iż "gdyby takie słowa, jak: kurewstwo, opilstwo, oszukaństwo, kłamstwo i złoźiejstwo, zostały, na mocy aktu Parlamentu, wyrugowane z języka angielskiego oraz z jego słowników, następnego ranka wszyscy powinniśmy się obudzić cnotliwi, trzeźwi, szczerzy, sprawiedliwi, jako też kochający Prawdę". Owe ruchy pokojowe, jak sugeruje Havel, opierają się na podobnie naiwnych założeniach, wedle których ponieważ utrzymanie pokoju leży tak bezdyskusyjnie w naszym własnym interesie, wszyscy przeto ludzie będą dążyć do tego celu. Ludzkość, jak sądził Walter Scott, będzie zawsze żyć i będzie zawsze umierać pogrążona w herezji, wedle której światem rządzą pamflety i mowy, a nadto jeśli ktoś potrafi wykazać w sposób wystarczający, iż pewna droga postępowania jest bardziej zgodna niż inne z interesami ludzi, dowodzi on tym samym, iż wysłuchawszy kilku mów, natychmiast ją zaakceptujemy" 6/.

Wiara w transcendentny porządek, przed którym musi ugiąć się sfera publiczna, jest wyrazem szacunku, jest ostrożną radością z powodu wielorakości i cudowności spraw ludzkich, uczucie to równoznaczne jest z brakiem zaufania do skąpych abstrakcji politycznego planisty; należy tu jeszcze dodać rozważne zrozumienie ludzkich niedoskonałości, przywiązanie do historii, do rządów prawa, do ograniczonego stylu polityki, oraz do tego, co nakazuje zwyczaj, zachowanie szacunku dla wartości pokory, odpowiedzialności oraz poddania się. Wszystko to są cechy umysłu konserwatysty, jak również umysłu Václava Havla.

Przypisy

- 1/ Eseje zebrane w tomie pod tytułem "Václav Havel or Living in Truth" /"Václav Havel, czyli życie w prawdzie"/, wydany przez Jana Vladislava i opublikowany przez wydawnictwo Faber and Faber w roku 1987. Tytuły i numery stron pochodzą z tej właśnie książki.
- 2/ Jonathan Swift, "Podróże Guliwera", przekład Anonima z 1784r., PIW, Warszawa, 1971.
- 3/ Roger Scruton. "Rechtsgefühl and the Rule of Law" /"Rechtsgefühl i rzędy prawa"/ w książce J.C. Nyiri'ego i Barry'ego Smitha "Practical Knowledge: Outline of a Theory of Traditions and Skills" /"Wiedza praktyczna: zakres teorii tradycji i umiejętności"/, Croom Helm, 1988.
- 4/ Jan Patočka, "Political Testament" /"Testament polityczny"/, opublikowany w Telos. 31, 1977 r.
- 5/ Jan Patočka, "What Charter 77 Is and What It Is Not" /"Czym jest, a czym nie jest Karta 77"/ w książce Cordona Skillinga "Charter 77 and Human Rights in Czechoslovakia" /"Karta 77 i prawa człowieka w Czechosłowacji"/, George Allen and Uwin, 1981r.
- 6/ Uwagi na temat Waltera Scotta pochodzą z książki Russella Kirka "The Conservative Mind" /"Umysł konserwatywny"/, s. 107, Gateway Ed., wydanie VI popr., 1978r.

James de CANDOLE

tłumaczył: MASON

KOMUNIKATY:

1. Apelujemy o pomoc finansową i rzeczową.
2. Tadeuszowi Lic i "FRIENDS OF "NIEPODLEGŁOŚĆ" dziękujemy za taśmę.
3. Naszym współpracownikom w Szwecji dziękujemy za książki.

Ukazujący się od stycznia 1982 r. miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" wydawany jest przez GRUPE PISMA "NIEPODLEGŁOŚĆ" - S.A.

Posiada ona wszelkie prawa wydawnicze na obszarze Polski. Przedruk poszczególnych artykułów dozwolony z podaniem źródła. Całość po porozumieniu z GP"N".

Prawami wydawniczymi zagranicą dysponuje nasz Przedstawiciel Tadeusz KADENACY - 32, WINTERFOLD CLOSE, LONDON, SW 19 6 LE.

Współdziałają z nami na terenie:

- Wielkiej Brytanii "FRIENDS OF "NIEPODLEGŁOŚĆ" /adres - Tadeusz KADENACY/
- Skandynawii - Janusz CUPRYJAK /Villagatan 10, 33012 Forsheda, Sveden/.